1206018

NIEMCY

PRZEZ

WŁODZIMIERZA BUDZYŃSKIEGO.

3660

POZNAŃ.

NAKŁADEM AUTORA.

—

1850.

BAZA DRUKÓW
WIELKOPOLSKICH

R206018

NIEMCY

PRZEZ

WŁODZIMIERZA BUDZYŃSKIEGO.

3660

POZNAŃ.

NAKŁADEM AUTORA.

1850.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA Poznań

1880255 I

BU UAM
18 K 456

Koniec na początku.

O jakże się podróżowanie zmieniło! Coby powiedzieli ci dawni turyści, co przejeździwszy lat wiele po świecie, siedzą dziś spokojnie w swych mieszkaniach przeziérając ryciny, przerzucając podróże i marząc jeszcze o nowéj wycieczce. Niech się lepiéj nieruszają, straciliby wszystkie illuzye. Od lat dziesięciu zaszły takie zmiany! Co się stało z tym ruchem, zgiełkiem, przemijającemi się opakowanemi powozami, dyliżansami? ten dźwięk trąbki, trzask bicza, to

życie zajęte a próżniacze, wszystko to przeszło.

W wielkiém też mieście gdzie się zatrzymasz, nie obaczysz już wlatujących paradnie wielkich ekwipażów, nie poznasz podróżnego po jego zdziwionéj postaci, bo dziś największy nowicyusz widział kilka miast wielkich.

Wszystko zdegenerowało a za to wszystko się upowszechniło. Wszystko! Podróżowanie, rozumy, majątki. Widzisz kogo raz pierwszy, zdaje ci się, że wieśniak; nie, on zwiedził całą Europę i ledwie po jakimś czasie postrzegasz, iż ci ciągle mówi o kościołach i teatrach, więc że mało, krótko i źle widział. Inny ma wiadomości, i dopiero kiedyś dopatrujesz się, iż je ciągnie z Illustracyi, bo skacze w rozmowie od węża morskiego do rozprawy archeologicznéj, tak jak stoją koło siebie w owym zbiorze. Wchodzisz do innego jeszcze, uderza cię w oczy piękna srebrna

tualeta, ale się przypatrzywszy widzisz, że bakfontowa.

Dawniéj każda podróż była złączona z mnóstwem zdarzeń, wypadków; nie jedna była śmiałą wyprawą. Dawniéj to jednak były złote czasy podróżnych. W drodze prawił co chciał o swoim ojczystym kraju a gdy wrócił opowiadał o zagranicy. Dziś w Paryżu, Rzymie czy Londynie wszędzie się lęka, by mu kto znienacka nie zaprzeczył. Mój Boże! mówi sam do siebie turysta w żalu, nie módz sobie nigdzie pozwolić, to wrócę na to do kraju, znajdę kilku dobrych znajomych, tam cicho przy kominku będę mógł sobie bajać jak bajali starzy.

I powracasz. Czas jakiś dobrze się udaje, aż w tém ci ktoś raptem zaprzecza, kto? Sąsiad twój własny! Sąsiad przez grunta! Gdyś dostał kataru i niewyjeżdżał z domu przez parę tygodni, on tymczasem

ruszył za granicę, zwiedził całą Europę i wrócił.

Lecz czyż to jedna niekorzystna zmiana!

Wprzódy podróżny był wszędzie osobą rzadką, poszukiwaną. Sam strój zdradzał obce pochodzenie, budził wyobraźnią dam, zazdrość mężów, kochanków, sztylety brawów i rozbójników. Rozbójników! Słowo to dziś śmieszne a niestraszne i nikt w nich nie wierzy. Może w całéj Europie niema dziś jednego, a gdyby i był to rządy powinny by się nim opiekować jak turami białowiejskiéj puszczy. I rozbójnicy teraz zdegenerowali, zmienili się oni w złodziei i każdy się więcéj boi o chustkę do nosa, niż o życie. Wkrótce i tych niepoetycznych w znacznéj części zabraknie a zastąpią ich tak krzewiący się dzisiaj salonowi oszuści. Teraz już trzeba się więcéj lękać ulicy niż lasu, a bodaj czy nie wkrótce trzeba się będzie więcéj niż ulicy lękać nie jednego salonu. —

Dawniéj pokazywano krzyż nad drogą w lesie i opowiadano sobie straszne zdarzenie o jakim Schynderhunie. Dziś te powieści zastąpiły w podróży przypadki drogi żelaznéj. Opowiadają sobie o zabitym mechaniku, kilku połamanych nogach, kilkudziesięciu połamanych zębach. To także czyni jakieś wrażenie, lecz nieporusza wyobrażeń. Może uprzedzenia co mam przeciw żelaznym kolejom a które dużo osób podziela, pochodzą ztąd, iż one straciły wdzięki nowości, a nie przeszły jeszcze w opisy podróżnych i romansistów. Trochę téż wstrzymuje imaginacyą to, że nie ma nieszczęść umyślnych, iż wszystko co się zdarza jest tylko przypadkowe.

Z czasem jednak zapewne odkryją ich stronę romantyczną. —

Około roku tysiąc dziewięćsetnego ani wątpię, iż znajdzie się romansopisarz co zetrze dwa rozpędzone treny, dając swym bohaterom (mechanikowi lub palącemu) za

powód zemstę albo zazdrość, może ułoży między konduktorami olbrzymi pojedynek, gdzie kilkaset osób odegrałoby mimowolnie rolę sekundantów w średniowiecznych czasów znaczeniu. —

I może co więcéj my to jeszcze czytać będziemy. — Co więcéj, może się to nam podoba. Zresztą i teraz już zaszły korzystne dla dróg żelaznych zmiany, zwłaszcza tam gdzie one są już trochę dawniejsze. W wagonach coraz mniéj nudnych osób zastanawiających się nad doskonałością wynalazku i grożących z plagii w plagią rozprawą o udoskonalających się balonach.

Coraz mniéj, ale to mówię z żalem, postrzega się przestraszonych wołów i koni, czasem tylko jakie łoszę ucieknie pędem, lecz w krótce stanie jakby zawstydzone. Wiecie że to przeszło w zwierzęce tradycye. —

Koło tych kolei co od lat dziesięciu istnieją, nie są to już żółtawe ziemią okry-

te rowy. Ładne trawniki okryły brzegi, domy tu i owdzie do drogi się poprzybliżały. Z czasem będą je otaczać gęste mieszkania jak przy dawnych gościńcach co się lat tyle zdobiły. Dotąd zaś jeszcze żelazne koleje lecąc polem, najbrzydsze części kraiju, najnędzniejsze wioski poodkrywały.

Trzeba jednak przyznać, iż żelazne koleje mają swoje piękności; między niemi naturalnie pierwsze miejsce trzymają tunele, to też mówią, iż inżynierowie i administracye, w stronach nie tak trudnych umyślnie czasem drogę na skały przewodzą by mieć także swój tunel. Cytują jeden w Wyrtembergu, dla którego musiano nawet zbaczać, by na skałę natrafić. Nie myślę by o tém co akcyonaryusze wiedzieli. Najpiękniejsza z dróg niemieckich jest Akwizgrańska; ciągle ona trafia na skały i ciągłe ztąd tunele, zrachować ich trudno. Koenigsdorfski ma pięć tysięcy sto sześćdziesiąt stóp długości. Wątpię aby gdzie kol-

wiek większy istniał. Rozpędzona lokomotywa blisko cztery minuty nim leci. Jest też już o nim i legenda.

Kiedyś (pewnie nie przed stu laty) do wagonu w którym jechał jakiś podróżny sam jeden, siadło dwóch złoczyńców. Korzystając z ciemności i huku lecącego pod skałami trenu wsunęli mu kapelusz pod brodę, i tak uduszonego okradli. Zabójcy wysiedli na pierwszéj stacyi, a trup podróżnego ze schyloną głową, niby śpiący przyjechał do belgijskiéj granicy, aż tam, gdy niechciał pruskiemu żandarmowi pasportu pokazać został zaaresztowanym i odkrytym.

A jednak po jakimś czasie przyzwyczaja się mimowolnie do dróg żelaznych; spostrzega się to, kiedy się z nich zboczy, kiedy się wjedzie, chociażby na najpiękniejszy gościniec, doświadcza się takiego uczucia, jakby się w jakiś za oświatą pozostały kraj dostało. Widząc te ogromne kupieckie bryki, co stoją rzędem przy zaje-

zdnych domach, i z których stary pies wysadzając głowę szczeka zachrypłym głosem, uważa się je za poważne zabytki innych wieków.

Na tych to drogach kończą swój długi chlubny zawód, owe landkuczery, co wprzódy krążyli po całych Niemczech, a których kulawe konie, i toczące się rozchwiane pudło, tyle im żartów ściągało ze strony konduktorów świetnych pod ów czas dyliżansów.

Dziś dyliżanse nie żartują już z landkuczerów, owszem zdają się z przyjaznem uczuciem na nich patrzyć.

Pogodziło ich wspólne nieszczęście, a zwłaszcza nienawiść do wspólnego nieprzyjaciela; bo z natury rzeczy żelazne koleje, nie mają większych wrogów jak konduktorowie, chyba landkuczery.

Wiedeń.

Jak Babilon przed upadkiem, jak Florencya wśród zarazy, tańczy i bawi się Wiedeń.

Z wszystkich miast europejskich, nie wyłączając nawet Paryża, żadne téj namiętności tak daleko nie posuwa.

Mnóstwo publicznych zakładów przyjmuje co niedziela te chciwe zabaw tłumy. Późniéj znowu tydzień pracy i oczekiwania. Nieraz Wiedeńczyk staje przed różnokolorowemi afiszami co okrywają bramę

Rothe nthurm i tam zamyślony waha się długo między czerwonym a zielonym anonsem, między wzrastającą Birną a zawsze świetnym Szperlem. Częściéj Szperl bierze górę, bo tam gra zwyczajniéj Straus ulubiony, Straus którego imię jest dziś znane wszędzie i którego walce tańczy cała Europa. Wiedeńczycy dumni są ze swego muzyka, pokazują go z zadowolnieniem cudzoziemcowi i za każdą przerwą nie zapominają nigdy dać brawa. Istotnie jest to reputacya bardzo zasłużona. Lecz co słuchacza uderza, to że dziwnie są smutne owe piękne walce, co poruszają te wesołe tłumy. Tak w tańcach i zabawach przemija zima. Lecz tutaj walec, czy to skutkiem klimatu czy istotnego nadużycia, jest nieraz śmiertelnym.

Na wiosnę rozwożą w góry, dla oddychania świeżém powietrzem, chorych wyższego stanu; dla ubogich otwierają się znowu

wielkie sale tańcowe: tą razą cele szpitalu. W Wiedniu taniec jest prawdziwą zarazą.

Gdy w lecie bale trochę ustają, żyje się jeszcze ich wspomnieniami. Goni całe miasto za muzyką, co mu zimowe zabawy przypomina. Z wszystkich okien słychać niezrównane tańce Strausa. Wśród ulubionych ostatnich zapust walców, co tyle wspomnień przez ten krótki czas nagromadziły, odzywają się dawniejsze, dwuletnie, trzyletnie, czasem dziesięcioletnie Heimatsklęgi, czasem dwudziestoletnie ulubione Reichstata. Można zaraz zgadnąć, że wspomnienia grającéj w tych czasach zostały.

Może jedno z tych wspomnień silnych i bolesnych niekiedy, lecz które zwyczajniéj spokojnie śpi na dnie serca prawie każdéj kobiety, nie psuje jéj szczęścia, pokoju i czasem się tylko budzi.

Otóż owe walce Strausa są wszędzie, lecz we Wiedniu zwłaszcza, powiernikami nie jednéj towarzyskiéj tajemnicy.

Za lat kilkadziesiąt słysząc swoją babkę nucącą coś z cicha, będą młode Wiedeńki myśleć że to pacierze, nie, to będą Strausa walce.

Może nigdzie nie znajduje się miasto tak materyalnie żyjące. Tutaj cywilizacya istnieje, lecz jest bez postępu. Każdy krok naprzód mógłby ich wyprowadzić z tego opiumowego uśpienia, które nie jest bez wdzięku. Wiedeńczycy są (byli) Chińczykami europejskimi.

Lud ten tak za przyjemnościami goniący nie jest bynajmniéj ładnym. Można i miesiąc się po Praterze przechadzać a nie zdybać żadnéj ład néj postaci. Żal zwłaszcza dzieci, które w tym wieku gdzie sama delikatność płci bez rysów się pięknych obchodzi, noszą już zarodek tej strasznéj brzydkości, któréj gdzie indziéj trudno mieć wyobrażenie a która coraz w wyższe idąc klasy zdaje się coraz powiększać. Ładna twarz będzie zawsze w Wiedniu za cudzo-

ziemską miana. Jeżeli raz kwitnie wypielęgnowana w arystokratycznym pałacu piękność to zaraz i więdnie.

Wiedniowi nie braknie tych różnych ciekawości, co w każdém się prawie wielkiém mieście znajdują i które tak zajmują początkowych podróżnych. Dwie jednak tylko warte się uwagi. Kościół świętego Szczepana, zwłaszcza wieża jego, będzie zawsze miana za jeden z najpiękniejszych gotyckiéj sztuki utworów. Lubiłem się na nią patrzeć ze wzgórz okolicznych, gdy wśród kamieni miejskich i wież innych zdawała się jak dąb stary wśród młodych zarośli.

Drugą ciekawością jest pomnik księżny Krystyny Cieszyńskiéj przez Kanowę w kościele augustyańskim. Jest to cały obraz z marmuru. Wszystkie te postacie otaczające grobową piramidę są prześliczne. Ten starzec z trudnością idący po schodach, ten piękny geniusz, jeden przenosi do świetnych sztuki greckiej czasów, drugi zdaje

wskazywać drogę, co nowożytne rzeźbiarstwo wziąść powinno.

Jest rzeczą dobrego tonu pogrzeb w tym odprawiać kościele. To też moda wiele tu obchodów ściąga. W bliskości znajduje się wielki magazyn, na którego szyldzie w sztucznym nieładzie malowane tentują przechodniów żałobne krzyże i trumny. Piękny to handel, dochód pewny a wieleż nadwyczajnych przychodów. Przytém prędzéj czy późniéj każden się do korzyści przyczynia. W sklepie samym mnóstwo trumien tuzinkowéj roboty, ale także kilka pięknych na zakaz robionych, które zwrócone jako niewygodne dla chybionéj miary. Co nieprzeszkadza, iż jaki mniéj wymyślny umarły w pół darmo ładną dostanie. —

Rzucam Wiedeń i idę do Schoenbrunu. Schoenbrun, chociaż są tacy co temu przeczą, jest wszakże wspaniałe mieszkanie. W nim przepędza lato ten dwór odosobniający się wśród wysokiéj, licznéj arystokra-

cyi otaczającéj go do koła cisnącéj się, lecz trzymanéj dość z daleka w stosunku z jéj znaczeniem i udziałem w rządzie. To oddzielne, prawie zakonne życie czyni, że jest to może dwór o którym najmniéj w Europie słychać. Trzeba też przyznać, iż wysoka szlachta wiedeńska nie jest bynajmniéj piśmienna i że w niéj się dotąd ani Larochefoucauld ani Saint-Simon nie znalazł.

W Schoenbrunie, jak wszędzie gdzie przeszedł, wspomnienia Napoleona przybijają wszystkie inne i ścierają je. Oprowadzający po pałacu pokazuje z dumą i zadowolnieniem, że w pokoju gdzie Napoleon w gniewie odrzucając przyniesione mu warunki pokoju, cisnął tabakierką, i stłukł lustro i przy tym samym stoliku gdzie w ten czas siedział, syn jego schorzały czując swoją śmierć bliską, pożegnawczy list do swéj matki pisał a w pokoju, gdzie Schönbrunski traktat został podpisany, skonał,

niemając żadnego rodaka przy sobie, syn Napoleona, piękny dwudziestokilkoletni młodzieniec. Dziwna zemsta i dziwna z niéj chluba.

Cień tego młodzieńca jest jedyném poetyczném wspomnieniem, co wywołuje wyobraźnia podróżnego przechadzającego się pod temi wspaniałemi szpalerami. Ogród tutejszy strzyżony, z mnóstwem posągów, sadzawek, jest jednym z najpiękniejszych tego rodzaju. Wielu styl ten gani jako sprzeczny z naturą; co do mnie znajduję, iż on jeden prawdziwie się godzi z wielkiemi pałacami, że zawsze by powinien koło nich być używanym. Taki ogród należy jeszcze do architektury i wolném przejściem łączy z parkiem pałac. —

Drezno.

Drezno jest jedno z rzadkich miast na północy, mających dar przyciągnienia podróżnych. Jaki wdzięk mają te ciemne smutne ulice, te kamienice wązkie i wysokie, to powietrze ciężkie od węglowego dymu; nie łatwo na to odpowiedzieć. A jednak każden do niego ciągnie, każdemu w niém dobrze, nie jeden za niém żałuje. Ale nas Polaków więcéj ono jeszcze od innych oczarowało.

Jest to bez wątpienia nasze ulubione mieszkanie, i jedyne miasto, gdzie jesteśmy najliczniejsi z cudzoziemców. Z jesienią zaczyna się miasto napełniać, z różnych stron naszego obszernego kraju zjeżdżającemi się domami.

Z razu znających się z sobą nie wiele, to też tworzą się jakby stronnictwa. Mieszkańcy téj lub owéj prowincyi, trzymają na początku z sobą, łączą się w małe wieczory; tam przy kominie toczy się łatwa jakby od niechcenia rozmowa. — I nasza wiejska natura biorąc górę, zamiast godziny, siedzimy godzin kilka, kto chce mówi, kto chce milczy, a kto chce wzdycha, bo i tacy się znajdują. Późniéj między temi oddzielnemi częściami, zaczynają się ustanawiać komunikacye, i w kilku otwartych domach, wszyscy się zbierają. Wtedy zaczyna być więcéj życia, ruchu, ale może mniéj zabawy. W tych małych wieczorach rozpoczęte romanse (bo klimat drezdeński

działa niezmiernie na serca) zaczynają wychodzić na wielką scenę. Z zakochanego staje się nie jeden starającym.

Wszystko to wśród zabaw przeciąga się aż do końca zapust, a gdy popielec zatrzyma tańce, nastaje kilkudniowa cisza; lecz myliłby się bardzo, ktoby myślał, że to czas stracony. Wkrótce rozchodzą się pogłoski, o składających się tak licznych, jak w końcu pięciotomowego romansu parach.

Zaledwieś się o pierwszéj dowiedział, wybiegasz naturalnie co prędzéj, dla rozgadania téj wiadomości. Zdybawszy znajomego, mówisz mu spiesznie:

Wie pan nowinę?

Wiem i jeszcze z detaliami.

O małżeństwie?

A zapewne.

Panny Jadwigi?

Nie, panny Zofii.

Tu obadwaj patrzycie na siebie z zadziwieniem. —

Jak to i panna Zofia?

Jak to i panna Jadwiga?

I lecicie daléj w dwie przeciwne ulice.

Kogoż teraz zadziwi, iż Drezno ma tyle stronników.

W kilka tygodni potém, średnia część katolickiego kościoła, błyszczy rzęsistém światłem. Tam przed ołtarzem przysięga młoda para; a ukryte w cieniu filarów, nieraz błyszczą zzadrośne oczy.

W Dreznie dziś można znaleść lepsze niż gdziekolwiek, polskie towarzystwo. Tu się jeszcze napotyka ostatnie tradycye dobrych narodowych salonów.

Można także uważać różne prowincyonalne odcienia, różniące mieszkańców tak odległych okolic, a które dla braku dość rozwiniętéj na połączenie ich literatury, silnie się nieraz zarysowywują.

Posiadanie tylu arcydzieł, ile tutejsza galerya liczy, nie zwróciło gustu Drezdeńczyków do malarstwa; sztuka ta u nich

dość jest zaniedbaną, za to wszystkie ich artystyczne usposobienia zwróciły się na muzykę. Nawet w Niemczech, gdzie ona liczy tylu zwolenników, mało jest miast, coby z Dreznem mogły iść w porównanie. Jest ono dziś ostatnim prawie przytułkiem utworów Glücka i Bacha.

Bo tutaj muzyka klasyczna niemiecka jest jedynie lubioną.

Z nowszych, tylko Weber i Meyerbeer zasłużyli tu sobie na jakiekolwiek uważanie, równaćby się ich jednak nikt nie ośmielił z Bethowenem, Mozartem lub Glückiem.

Lubiący muzykę włoską, nietylko iż jéj tu mało usłyszy, ale nawet pedantyzm klasycznéj szkoły, którym się prędko i dyletanci przejmują, nie dozwoli mu zdania swego wyłożyć.

Jeżeli mimo ostrzeżeń, ośmieli się kto jeszcze włoskich mistrzów chwalić, przyjmie go uśmiech, albo nawet takie pytanie:

— Prawda, że most drezdeński ładny; jak go też pan znajduje?

Gnębiony w moich gustach przez kilka miesięcy, ośmieliłem się kiedyś odkryć moje zdanie i zostałem zaraz wyśmianym i zakrzyczanym, a gdyby ktoś nie powiedział na moje uniewinnienie, iż gust ten z Włoch datuję, spotkałoby mnie niechybnie pytanie:

— Dawno też pan kraj opuścił?

Niech co chcą mówią, instrumentacya jest tém w muzyce, czém jest styl w literaturze; myślą zaś melodya.

Mozart lub Meyerbeer zachwyci wprawdzie, lecz Rossini, Bellini, a nawet Donizetti poruszą.

Wychodząc ze sławnych Hugenotów, chociaż wszyscy oddają im słuszność, mało się jednak z nich w myśli zostaje. — Tymczasem po końcu Luczyi, gdzie jest jednak nie wiele sztuki, każdemu się jakaś nuta została; po wszystkich ulicach rozchodzą się chóry.

Chociaż nie można się nie zachwycić

utworami Meyerbeera od lat blisko dwudziestu jak są znane, ledwie kilka kawałków z Roberta diabła się upowszechniło; gdy tymczasem wszędzie są lubione i znane utwory Belliniego.

Jakby na poparcie mego zdania, pan Wagner, uczeń szkoły Meyerbeera, wydał operę Tanhauser, która chociaż dotąd nie bardzo się rozszerzyła po muzycznym świecie, na klasycznych jednak tutejszych słuchaczach zrobiła wrażenie. Ja nawet nie mogłem się zupełnie ogólnemu zachwyceniu oprzeć.

Po jakimś czasie wszakże przekonano się, iż ta opera, co się tak dobrze wydaje, nie ma w sobie nic, oprócz pięknéj instrumentacyi. W całéj partycyi nie znaleziono jednego kawałka do śpiewu.

Szwajcarya Saska.

Natura wcale nie jest naturalną w Szwajcaryi saskiéj; raz robi w skale lornetkę teatralną przez którą ukazuje piękny widok, to znowu rzuca most kamienny, daléj tworzy w opoce korytarze; czasem zdaje się to dziwacznem, prawie przesadném, lecz częściéj zachwyca.

Leży ten kraik po prawéj stronie Elby na pograniczu Saksonii z Czechami, lecz większa jego część w pierwszéj. Szandau uważane jest za jego stolicę. Istotnie, z tam-

tąd to na wszystkie strony rozchodzą się wycieczki kilkogodzinne lub dniowe. Opuszczając Drezno pierwszych dni wiosny, chciałem wprzódy, gdy tu może nigdy nie wrócę, saską Szwajcaryą zwiedzić. Popłynąłem do Szandau brzydkim dniem kwietniowym.

Deszcz zmięszany z ostatnim zimowym śniegiem, zasłaniał jak za siatką widoki. Lecz pierwsze godzin parę nie wiele straciłem; rzeka kręci się na płaskiéj dolinie wśród ubogich wiosek. Małe, różowo lub żółto malowane chaty, ogołocone z winogradu co pnie się po nich wśród lata, albo domy wiejskie przypominające wysokim dachem, ciężkiemi słupami stare polskie dwory z przeszłego wieku i których moda zapewne do nas przyszła za Sasów panowania.

Czasem przesuwał się korzystający z wiatru bajdak, płynący przeciw wodzie z rozwiniętym żaglem. Czasem kilka koni ciągnących wzdłuż brzegu ciężki statek;

daléj ładny nad samą rzeką królewski pałac w Pilnitz; późniéj znowu jednostajne brzegi. Wszystko to nie było dostatecznem do wyciągnienia mnie z kajuty, do któréj się byłem schronił przed deszczem. Wycieczka źle się zaczynała, lecz już zawrócić się nie czas było. —

Przed południem stanęliśmy pod miastem Pirną, tak sławném w siedmioletniéj wojnie. Miasto to zdaje się jak gdyby się odwróciło od rzeki, tak wszystkie budowle widać z tyłu. Nad niém stara twierdza na wyniosłości. Tu już góry zaczynają otaczać dwa brzegi a wspomnienia wojen siedmioletnich i napoleońskich, stając przed oczyma wprawiają w zadumanie.

Daléj za Pirną zdaleka się postrzega, nim krążąca rzeka do nich doprowadzi, dwie wznioślejsze od innych góry. Jest to jak brama, przez którą z pomiędzy łańcucha erzeńskiego, Elba na dolinę wypływa. Dwie te góry na przeciw siebie stojące, ska-

liste i dzikie, jeszcze śnieg całkiem okrywał, tak, iż z trudnośc ią było można dostrzegać białe mury twierdzy co Koenigstein uwieńcza. Na ostrém Lilienstein mówią, iż w średnich wiekach stał zamek; dziś nawet wejście nań prawie niepodobne.

Stąd aż do Szandau kręci się Elba wśród coraz dzikszych gór i przepływa pod ogromnemi skałami tworzącemi liczne naturalne baszty i dla tego Bastaj zwane Jeszcze godzina drogi, lecz tą już razą zajmującéj i stanąłem w Szandau.

Myślałem że pierwszy tego roku będę zwiedzać góry i miałem prawo do takiej ambicyi, w śród padającego śniegu opuściwszy Drezno. Pięciu Anglików jednak korzystając z kilku pięknych dni na dwa tygodnie mnie wyprzedziło. Tak wczesny ledwo że niepierwszy podróżny, jest nieoszacowanym i uważany za pewny dowód nadejścia spóźnionéj wiosny i dla tego przyjmowany tym wesołym okrzykiem ja-

kim u nas witamy przylatujące bociany. Nie wiedziano jaki mi dać pokój wszystkie razem ofiarując i zapewne dla zrobienia też sobie dobréj wróżby, kazano wszystko w dwójnasób płacić. Jakie owacye musiały poprzedzających mnie Anglików spotykać, tego nie mam już i wyobrażenia.

Mój przewodnik łączył w swéj jednéj osobie dwie godności. Był razem patentowanym przewodnikiem i szewcem. Niestety, w przewodniku dużo z szewca zostawało. Może to mu tak trudno było odwyknąć od zimowych zajęć. Co nie bądź, dziwny w nim był brak wyobrażeń. Znał prawda bardzo dobrze w szystkie ścieszki, lecz nic nie wiedział, nie opowiadał i tylko stając w naznaczoném miejscu i zasłaniając ucho, bo miał fluksyę, wymawiał przez zęby: „Dziko romantyczny obraz.“ Potém obracał się i szedł daléj.

Miejsca piękne koniecznie tradycyi i wspomnień wymagają. Wzruszona wyo-

brażnia, chciałaby je zawsze uważać jako dekoracye, gdzie się jaki przeszły dział dramat. I taka legenda, co od czytelnika z obojętnością, nawet ze znudzeniem przebieganą będzie, na miejscu słyszana porusza i zajmuje. Zwyczajnie, zwiedzenie całéj saskiéj Szwajcaryi zajmuje dni cztery albo pięć; ja musiałem tydzień siedzieć, bo nieustanne deszcze ciągle mi przeszkadzały. Lecz nie bardzo tego żałowałem, bo gdy się trochę wypogadzało szedłem wzdłuż Elby, patrząc jak z wiosną budził się ruch uśpiony w zimie. W wielkich kopalniach kamienia co już kawał góry odłamały, robotnicy niespracowanym młotem obrabiali ogromne bryły, albo ostrożnie podkute skały na dół strącali. Małe floty z bajdaków obładowane węglem i drzewem szły w stronę Drezna. Za niemi znowu od dział bajdaków z obrobionemi głazami opuszczał Szandau, idąc do Magdeburga i Dessau, zkąd je prowadzono do Berlina. Rozweseleni

przemijającém słońcem flisacy, zaczynali swe monotonne ale piękne chóry, którym dalsze łodzie odpowiadały.

Po trzydniowéj, prawie nieustannéj słocie, gdym już wyczerpał cały zapas książek i cierpliwości, rozjaśniło się w końcu niebo i piękny zachód słońca obiecał mi nazajutrz pogodę.

Najbliższa wycieczka jest do Kuhstal. Przez godzin parę idzie się doliną otoczoną skałami. Na dnie płynie potok, który sobie wydzierają tartaki i młyny. —

Był to jeden z tych dni pierwszéj wiosny, w którym powietrze napełnia zapach pękających liści, tu jeszcze z ostrym mchu i kolczastych drzew zmieszany. Będąc w napadzie mego czarnego humoru, cieszyłem się szczerze, iż nikt ze mną téj przyjemności nie podziela. W głębi doliny stoi ciemna góra; na nią idzie się dobrą ścieszką, a po pół godziny dostaje się wśród starego lasu okrywającego jéj szczyt do

koła. Tu już dochodziłem do sławnego Kuhstal. Przewodnik mój kazał mi oczy zamknąć i tak mnie prowadził kroków kilkadziesiąt.

Już! krzyknął zatrzymając się; otworzyłem oczy. Przedemną stała ogromna skała, w niéj naturalna brama. Wrażenie jakiego się doznaje jest niezrównaném. W koło cień schylonych nad głową starych konarów i groty sklepienia, a przez nią jaśniejące pod promieniami słońca góry, okryte lasami i między niemi skały w dziwacznych kształtach, jak słupy oddzielne, to znowu ściany tworzące. I w téj okolicy nigdzie śladu ludzkiego mieszkania. Wszystko to wprawia w jakieś spokojne zachwycenie; jaskinia sama przez się z temi ogromnemi, ciemnemi szczelinami jest bardzo piękna.

W lecie mają tu być tłumy podróżnych; każden przewodnik kilkunastu prowadzi, z za drzew wygląda rząd osiołków niosących

damy. Z długiemi włosami, z ogromnemi kijami burszowie snują się po wszystkich skałach. W głębi jaskini gra muzyka — i za tą żałowałem. Jak pięknie musi się rozchodzić po tych głębokich wąwozach dźwięk choćby najgorszéj harfy.

Lecz czegom najwięcéj żałował to, żem niewidział tych prowadzonych przez przewodników za ręce się trzymających kilkunastu osób z zamkniętemi oczyma i które za hasłem oczy a później razem z zachwycenia gęby otwierają.

Sam jednak to miejsce zwiedzając wielem bardzo zyskał; uwolniony byłem od wszelkich wykrzykników. Nie było nikogo coby nie rozumiał piękności, niebyło tych jeszcze straszniejszych co niby zrozumieli.

Miejsce to w czasie trzydziestoletniéj wojny znane tylko od pasterzy i najbliższych okolicznych mieszkańców, służyło za schronienie kilku rodzinom. Dotąd jedna mała, bliska głównéj jaskinia, nazywa się

grotą krawca, od tego co w niéj się przechowywał.

Dziś w całéj Europie nie znalazłaby się pewnie jaskinia, gdzieby uciekający mógł się bezpiecznie ukrywać. Zarazby obaczył kilku patentowanych, z doskonałemi świadectwami przewodników, wprowadzających ciekawych nieprzyjacielskich oficerów. Wiele dawniéj pięknych okolic znanemi nie były. Czy piękność natury nie jest także jednym z wynalazków? Mnie się zdaje nawet, że jednym z nowszych.

Na skale nad grotą widać ślady zamku dawnych Wendów. — Druga wycieczka, i tę musiałem odbyć na koniu, bo daleka jest, na Winterberg i do Prebisch Thor. Zajmuje ona dzień jeden dla kogo co się spieszy, a dni parę dla wolniéj zwiedzającego.

Niemogę powiedzieć, żeby mi mój koń na wiele posłużył; do góry za ciężki mu byłem, na dół ślizgał się i utykał, bo miał sła-

be nogi, co razem dość go niezdatnym do gór czyniło. Rozmaitość obrazów nie dała mi uczuć zmęczenia, chociaż z Szandau na Winterberg idzie się godzin kilka. Góra okryta jeszcze była śniegiem, to też ufny w jego miękość siadłem znowu na konia i utrzymałem się na nim, mimo że się ślizgał co parę kroków.

Winterberg jest dla saskiéj Szwajcaryi tém czém Rigi dla prawdziwéj. Jest tu jak i tam romantyczna oberża na szczycie góry wystawiona.

Tutejsza chociaż mniejsza, jest nawet znacznie ludniejsza i z wieżą. I widok z niéj wart narażenia się na wiatr, który nieustannie świszcze. Elba raz kryje się w załamach, to znowu ukazuje wśród gór na dnie głębokiéj doliny, późniéj coraz daléj i daléj na saskich równinach, rozpływa się w oddalenia błękicie. — Na drugą stronę schylają się czeskie góry, i także w głąb obrazu środkowe tego kraju równiny.

Jest się tu na grzbiecie gór erzeńskich, których się całe pasmo widzi bliżéj tłumnie skupione, daléj po obu stronach zniżające się i wystrzelające tu i owdzie dziwacznemi skałami, jak Lilienstein, Cirkelstein, Kronstein i Königsberg wśród okolicznych równin z ziemi wyłażącemi.

Jednak ten rodzaj obrazu, jakkolwiek piękny, nie zachwyca mnie jak wielkie góry, gdy się na nie z głębi doliny patrzy.

Ten widok na niezliczone góry, wsie i miasta, więcéj jest geograficzną przyjemnością; i ani wątpię, iż Strabon, Ptolomeusz i Maltbrun, najwięcéj w takich gustowali.

Koło Winterberga przechodzi się austryacką granicę; idąc do części, którąby wypadało nazwać Szwajcaryą czeską, by nie być zmuszonym ją nazywać częścią czeską Szwajcaryi saskiéj.

Jak tylko się przeszło granicę, kraj zmienia charakter, z smutnego leśnego w dziki wulkaniczny. Na gołych skałach, po-

dartych rozpadlinach, na dnie głębokich przepaści, żadne drzewo nie rośnie. Ledwie mech i krzewów trochę. Pomiędzy przepaście i kamienne ściany, pokazują się w dole dalsze czeskie doliny, smutne jeszcze i samotne, lecz już łagodniejszych zarysów. Na dnie najbliższy, wśród zieleniejącéj trawy płynący strumień, spieszy się do Elby, skacząc po kamieniach. A tuż przed oczyma odsłania się Prebisch-Thor, ogromna kamienna brama, jeden z dziwacznych cudów téj małéj Szwajcaryi. Są to dwie ogromne skały, połączone tak lekką w miarę, kamienną płytą, iż to wygląda jakby łuk jakiego mostu olbrzymiego. Tutaj jak we wszystkich piękniejszych miejscach téj okolicy, skały są poplamione niezliczonemi nazwiskami. Mania ta, zresztą zwyczajna podróżnym, nigdzie wszakże do tego nie doszła stopnia. Niektórzy nie dowierzając miejscom przystępnym, zabezpieczają swe imiona, wysoko je zapisując; —

drudzy wstawiają tablice z nazwiskami; inni skromniejsi pstrzą baryery, stoliki, ławki; jakiegoś Szmita znalazłem na nodze od stołka. Przyjemnie mi było myśleć, iż bez wątpienia Szmit jakiś na tym samym stołku kiedyś siedzieć musiał. Lecz że ich jest kilkadziesiąt tysięcy w Niemczech i tyleż w Anglii, nie mógłem dojść z pewnością, który.

Nacieszywszy się długo Prebisch-Thorem, spuściłem się w głąb doliny. Tam widoki ładne jeszcze, lecz już spokojniejszą przybierają postać; niektóre nawet miejsca łagodne, prawie sielankowe mają piękności.

Daléj im więcéj się dolina do Elby zbliża, wracają poważne obrazy, góry znowu więcéj zbliżone, pod skałami powciskane ładne chatki, na potoku co ćwierć mili wprzódy ledwie strumieniem można było nazwać, prawie łączące się młyny i tartaki. Ruch pierwszych dni wiosny, pozwolił mi

się napatrzyć na ten piękny lud saski; — prawie całą wieś zdybałem wracającą z pola. Między niemi wmieszanych, szło sobie spokojnie troje kontrabandzistów, mocno towarami obciążonych. Mój przewodnik witał się z nimi, jak z dobrymi znajomymi, co dało mi do myślenia, iż może do swych dwóch rzemiosł, trzecie łączy.

Bardzo mi ich zresztą zdepoetyzowała głowa cukru wyłażąca z jednéj paki.

Wróciwszy do Szandau, zostawały mi jeszcze dwie piękne części do zwiedzenia: Amzelgrunt i Bastaja. Droga z Szandau do Bastaj, bardzo jest urozmaicona i ciągle zajmuje; lecz już mnie nie tak bawiła; znużony byłem kilkudniowém zachwyceniem, chodzeniem, a jeszcze bardziéj siedzeniem dla deszczu w nędznéj oberży.

Przy tém zacząłem nabierać antypatyi do mego przewodnika, którego nie mogłem przymusić do improwizowania.

Przychodzimy pod zamek, jeszcze cały,

chociaż zaniedbany, i w bardzo romantycznem leżący położeniu. Pytam się, do kogo należy?

Do króla.

Król w nim mieszka czasem?

Nie, tu są więzienia.

A, więzienia. Może więźniowie stanu tu siedzą?

Nie, tutaj trzymają złodziei.

Co mnie także w zły humor wprawiło, to, żem zapatrzywszy się pośliznął i o mało nie zleciał z wysokiéj skały. Co za śmieszność by była, wpaść w przepaść i zabić się gdzie w nieprawdziwéj Szwajcaryi.

W tém złém usposobieniu dostałem się do owéj prześlicznéj Bastai, téj masy skał na stóp sześćset nad rzeką się wznoszących i tworzących jakby jakąś olbrzymią twierdzę.

Niektóre z tych skał sterczą oddzielne jak maczuga Pieskowéj skały, lecz i tam się dostać można, bo ładne, nawet nadto

ładne mosty łączą je z resztą. Tutaj także, jak na Kuhstall, miała kiedyś stać warownia Wendów. Dziś jak jego zamków tak i ludu samego znaku nie zostało. Jedyny z słowiańskiego pochodzenia upodobał on sobie góry i w najniedostępniejszych miejscach pobudował swe warownie. I to go od zagłady nie uchroniło. Od tego czasu już blisko ośm wieków minęło. Starły się wspomnienia tak, że i śladu prawie walk tego narodu z uciskającymi go Niemcami nie zostało. Żaden dotąd poeta nie umiał czy nie chciał oddać téj ostatniéj z upadkiem i z zagubą walki. A pozostały w zabranym kraju potomek wyplenicieli, pokazuje obojętnie dzikie góry, gdzie stały ich twierdze, mówiąc: tam był zamek rozbójników zwanych Wendami.

Po Wendach feudalni panowie osiedli na Bastai. Z niéj widać dobrze i daleko bieg Elby, to téż ztąd napadali na płynących kupców, zmuszali ich do okupywania się,

lub rabowali. Pokazują dotąd miejsce zwane kamienną ławką, na któréj wypoczywając czatowali na podróżnych.

Przed powrotem do Drezna pozostawała mi jeszcze do zwiedzenia dolina Anzelmgrund. Tu mój przewodnik wielką miał racyą, powtarzając ciągle swoje „dziko romantyczne.“ Istotnie nic romantyczniejszego nie widziałem. Nigdy Salvator Roza w scenach rozbójników całą swą, ognistą wyobraźnią nie utworzył nic podobnego temu dzikiemu rozdołowi.

I tak już wązki, a co kilka set kroków zawalają go kamienie i trzeba się przeciskać między ich szczelinami. Po obu stronach nachylające się skały tworzą mniéj lub więcéj zakryte jaskinie. Coraz to znika wązki strumień pod kamienną bryłą i znowu się z pod niéj spadając wydobywa. Czasem sosna albo świerk stary wywrócony burzą, kładzie się jak most na nim; a rwący wiosenną wodą potok, trzęsie

nim targając gałęzie. Takby tu dobrze było Karolowi Mor albo Robroyowi.

Raz jeszcze spytałem się przewodnika, czy nie zna o tym rozdole żadnéj legendy ale nie byłem szczęśliwszy niż pierwéj, Rozstając się z nim wyrządziłem, przynajmniéj tak mi się zdaje, nie małą przyszłym podróżnym usługę; dałem mu książkę z legendami Szwabii, zalecając mu tylko, by przystosował do miejsca w opowiadaniu, zmieniając nazwiska. Co dla ich dobra uczyniwszy, wróciłem do Drezna.

Berlin.

Raz Fryderyk chcąc mieć wielką stolicę, kazał zdiąć plan ówczesnego Paryża i taki sam obwód swemu miastu naznaczył. Lecz nie tylko że ten obwód nie został zabudowany, ale za dużym się nawet pokazał na ogrody, tak, iż większą część jego zajmowały uprawne pola. Stąd w ludność Berlina wchodziło tyle a tyle tysięcy ludzi, a tyle i tyle korcy kartofli. Z czasem jednak liczba kartofli zaczęła się zmniejszać a ludzi powiększać i ze stu kilkudziesięciu

tysięcy doszła do czterech kroć. Co raz to w piasku nowy dom ugrzęzał, daléj całe ulice się pobudowały. Lecz te domy na tanich gruntach stawiane służyły prawie za wiejskie mieszkania jedną tylko mieszcząc familią.

To téż na początku tego wieku, Berlin zająwszy wielką część zamierzonego okresu, był już obszernem bardzo, choć nie bardzo wielkiém miastem. — A zwłaszcza, w stosunku, nieludnym był wcale. W dzień pozytywa, w wieczór stróż nocny stanowiły cały ruch nie jednéj ulicy. Po jakimś czasie, miasto chociaż jeszcze ciągle się rozciągające, zaczęło się jednak mniéj już budować a ulice zaludniać. Osoby co go widziały przed dziesięciu laty, zdziwiły by się nie mało, widząc jak wielka w tak krótkim czasie zaszła zmiana.

Po szerokich Lindach aż męczący ruch powozów nawet i ekwipażów, bo coraz więcéj osiada niemieckiéj szlachty; szlachty

która dotąd dwa tylko miała ulubione miasta, to jest Wiedeń i Monachium.

Te lindy, razem spacer i ulica, otoczone ogromnemi gmachami, są doprawdy bardzo piękne.

Z jednéj je strony kończy ogród publiczny, z drugiéj przeciągają się placami aż do królewskiego zamku, który chociaż nie piękny, jednak wielki i oblany do koła wodą, poważnie się ukazuje.

Woda co go otacza jest, to owa Sprea tak ulubiona od Berlińczyków. Trzeba przyznać że gust szczególny! Nie znam rzeki coby mi się tak niepodobała; chociaż oprawna w ciosany kamień, ozdobiona pięknemi mostami, nic jéj brzydkości ukryć nie zdołało.

Ta czarna stojąca woda tak jest odrażającą, iż pewnie nikt w nią w największéj rozpaczy nie wskoczy. Można w Berlinie jakąkolwiek inną śmierć sobie zadać, ale utopić się, chociażby w największe upały, ni-

kogo niestentowało. Znany jest pociąg czystéj, szybkiéj rzeki dla nieszczęśliwego. — Śmierć nie ma nic strasznego, owszem tak nęci, że niezdecydowanego wprzódy nakłania. Tu wątpię by kto kiedykolwiek dobrowolnie utonął, chyba że się chciał powalać.

Jak wszystkie miasta nowe, Berlin niema wspomnień. Żaden kościół, żaden pałac, żadna ulica nie mają tradycyi. Co więcéj, pomniki które zwyczajem w innych krajach przyjętym, stawiane bywają ludziom sławnym, tutaj tego nie znaczą. Tak na placu Wilhelma stoją posągi sześciu jenerałów z siedmioletniéj wojny. W wojnie téj z Prusaków strony dwóch tylko wodzów oprócz Fryderyka na znane imię zasłużyło: Książe Anhalt-Dessau i starszy książe Brunświcki. —

Pozostałych zaletą: tego, że chciał stoczyć ważną bitwę ale do niéj nie przyszło; innego co oblegał mocną twierdzę, któréj

jednak nie dobył; innego jeszcze, że dowodził parą szczęśliwemi szarżami kawaleryi. Takich bohaterów w wojnach rewolucyi francuzkiéj i napoleońskich niezliczona się liczba ukazała.

Czemu te posągi tam stoją, czy dla regularności placu, czy dla jego ozdoby, jak kariatydy przy pałacach, — tegom się nigdy od Prusaków dopytać nie mógł. Za to Hegel i Fichte nie mają żadnych pomników!

Zwiedzając pałac królewski jedna mnie tu rzecz prawdziwie zajęła: jestto maska po śmierci zdjęta z Fryderyka.

Kilka lat wprzódy, widziałem w Bononii w pałacu Bacciochi, jak w jedną grobową zebranych salę, kilku królów w koło jednego gieniusza i staréj niewiasty, a wszyscy skamienieli pod dłutem Kanowy. — Tam téż leżała z boku na stole pośmiertna maska Napoleona, jego siostrze ze Świętéj Heleny przysłana. Gdzie tyle myśli było, na tém wspaniałém czole żaden zmarszczek

nie został. Rzekłbyś, spokojne zamyślenie, jakieś zachwycenie w wyrazie. — Może szczęśliwe o chwale marzenie. Jakby mu w gasnących oczach stanęło całe wzniosłe życie. Jakby już przezierał one elizejskie pola, które mu chora wyobraźnia w ostatnich dniach przedstawiała.

Fryderyka maska jest to twarz potępieńca. — Dodaj jéj rogi, to głowa szatańska. —

Napoleona twarz bolesna ale spokojna; mimo uprzedzeń co miałem wtenczas przeciw niemu i które mi znowu wróciły, obudziła we mnie uszanowanie i z jego pamięcią na czas długi pogodziła. —

Od Fryderyka nawet najzaciętszy Prusak odwróci się ze wstrętem. Czas myśli olbrzymów, którzy to miasto tak wysoko pod względem umysłowym postawili, przeszedł już i może nie wróci. Dziś Berlin na cmentarzach. Tam Hegel tam Fichte,

których systematy przeszły, ale sława została. —

Tam Hoffmann, ów geniusz dziwaczny, co tyle razy zachwiał granicę rzeczywistości. —

Kamienny posąg Hegla i czarna żelazna Fichtego kolumna stoją naprzeciwko siebie. U nóg jednego z pokornym napisem żona leży; drugi zimny i oddzielny, nawet trawa nie ośmieliła się rość na jego mogile. — Dziś z tego grona znaczących ludzi dwóch się tylko zostało: Schelling i Humbolt, lecz jak dwa zagasłe wulkany nie wstrząsają już oni umysłowym światem i ledwie trochę światła rzucają.

Poczdam.

Wśród czarnych jezior otoczonych lasami, leży Poczdam tak słusznie pruskim Wersalem przezwany. Gdy Ludwik XIV. tworzył Wersal, z dużego państwa liczna szlachta pomogła mu do tego, i kiedy się dwór w około króla zebrał, urosło wielkie miasto. W Fryderyka małém państwie nie było na to dość znacznych rodów. Szlachta się przytém do niego nie bardzo cisnęła, bo nie miał jeszcze powagi udzielnego panującego. Z resztą dwór pruski

nie był nigdy świetnym i jak mówią brakowało mu na wiekowéj wspaniałości innych. To też Poczdam nie miał nawet chwilowego blasku francuzkiéj rezydencyi. Miasto to podróżnemu nie mogło się nigdy podobać, cóż dopiero teraz gdy jest całkiém zamarłe a nie ma żadnego wdzięku miast podupadłych.

Chciano wznieść duże miasto, a ani pieniędzy ani mieszkańców nie wystarczało. Ztąd choć ulice długie, nie są jednak poważne, bo z małych, brzydkich domów złożone. Co do ludności, ma w niém być czterdzieści tysięcy mieszkańców, lecz ich zupełnie nie widać. Miasto nie jest więc wcale piękne, za to okolice jego, jak na prowincyą brandeburską, dość ładne, zwłaszcza przyozdobione. Mało mieszkańców Berlina naśladując dwór, buduje tu sobie letnie mieszkania, lecz za to familia królewska liczną jest i posiada tu z dziesięć pałaców, których ogrody prawie wszystkie łączą się

z sobą. Ogrody Sans-Souci chociaż stare nie bardzo mi się podobają. Przerobione z francuzkiego na angielski sposób, nie są ani jedném, ani drugiém. Nadto są one zagęszczone, brak wielkich gazonów, a co dziwniejsza, w bliskości Howlu, co tu do koła piękne tworzy jeziora, brak wody szpeci je bardzo. To też liczne posągi, co zazwyczaj tak pięknie od zieloności odbijają, są ich jedyną ozdobą. Mimo drzew starych i poważnych, nic tu do marzenia nie usposabia, bo nic nie wzrusza wyobraźni tam, gdzie jedyném wspomnieniem drwiące bez czci i wiary cienia Fryderyka i jego francuzkich gości. Ow dobrze z jego życia znany Sans-souci, jest to bez piętra długi na wzgórzu budynek. Wzgórze to okrywają pomarańczowe i cytrynowe drzewa, ustawione na siedmiu czy ośmiu terasach. Z pomiędzy drzew tych ledwo wyziera dach pałacu — wszystko to razem wygląda jak oranżerya. Z drugiéj strony, to jest od za-

jazdu, ładny bardzo widok na szeroką okolicę z leśnemi wzgórzami, a ładniéj się to jeszcze wydaje przez piękną kolonadę idącego w półkole portyku, co dwa skrzydła łączy; była to w złą porę ulubiona przechadzka Fryderyka, który tam czekającym ministrom i jenerałom dawał swe rozkazy; ztąd to on mógł z bliska widzieć ów młyn wietrzny, co mu tak bardzo zawadzał i który dotąd stoi. —

Duża fontanna na dole tarasu, chociaż piękna, niewiem dla czego zrobiła mi wrażenie sikawki. — Musiałem być źle usposobiony. —

Kilka jest pałaców w tym ogrodzie, największy jednak tak zwany Nowy Pałac. Gdy Fryderyk naśladując Ludwika XIV. tworzył Poczdam, trzeba mu także było duży pałac wystawić. Jest to też gmach ogromny i piękny, chociaż w zepsutym francuzkim stylu. Szyldwach gdy go sześć razy obejdzie luzują wartę to jest, upływa dwie godzin.

Okrążyć pałac razy jedenaście, stanowi niemiecką milę. Przytém dwie oficyny złączone ogromnym portykiem, w którym wjazdowa brama, są same dwoma dużemi pałacami. To można powiedzieć na zaletę architektury, że pałac ten wcale się tak dużym nie wydaje. Kosztował jak mówią trzy miliony talarów, co trochę za nadto w miarę kraju. To téż na wyłożenie kamieniem dziedzińców pieniędzy nie wystarczyło i musiano go cegłą zastąpić.

Pałac ów na czerwono malowany, czas już i wilgoć zeszpeciły, dodając mu jednak powagi. Piękny dziedziniec trawą porosły. Chociaż król był w Sans-souci, to jest w tym samym ogrodzie, chociaż nie w jednym pałacu, nie było tu jednak żadnego ruchu.

Prócz żołnierzy, co napełniają obie oficyny na koszary przerobione, ober-kasztelan to jest burgrabia i jakaś stara kobieta, to jego jedyni mieszkańce.

Ober-kasztelan jest jedną z ciekawości pałacu. Widział on jeszcze Fryderyka i był na jego pogrzebie. Widział koronacyą Franciszka II. ostatniego rzymskiego cesarza, był przy oblężeniu Warszawy z Fryderykiem Wilchelmem. Opowiadał mi jak widział jasne suknie dam opatrujących rannych na wałach. Widział później Napoleona, którego oprowadzał. Co jest w pałacu najciekawszego, to piękna na pierwszém piętrze sala, tak wielka, iż jak mówią marmurowy pałac leżący w innym pod Poczdamem ogrodzie, chociaż sam wielki, mógł by się cały w niéj zmieścić. Ci których zajmują pamiątki po wielkich ludziach, mogą tu jak w Sans-souci niejedną po Fryderyku znaleść; dla mnie, są sławni ludzie, których wspomnienia nie budzą żadnego, przynajmniej przyjemnego uczucia i do tych Fryderyk należy: dla tego nie próbowałem usiąść, jak inni podróżni, na jego fotelu, który ztąd jest całkiem podartym i niewiem dotąd jakiego się wtedy doznaje wrażenia.

W kościele garnizonu jest grób Fryderyka. Dwie trumny razem koło siebie stoją: jego i jego następcy. Można było bez podziału to sklepienie wielkiemu królowi zostawić, tém bardziéj, iż nie jest takie jak się wydaje z pięknego obrazu przedstawiającego Napoleona u grobu Fryderyka, owszem jest bardzo niskie i bez żadnéj wspaniałości. —

Rzemieślnicy poprawiający w kościele, przybliżywszy się, gdy mi kustosz loch otworzył, mówili mi, iż to był nie tylko największy ale i najlepszy z ich królów. Musi być lud pruski bardzo oświeconym, kiedy tak swemu staremu Frycowi oddaje sprawiedliwość, bo wielkie podatki i długie wojny nie mało by przeciw niemu na pozór mówiły. Istotnie jednak, wiele on dla Prus a nawet dla całych Niemiec uczynił, głową a nie sercem. Lecz lud, na odwrót Boga, po uczynkach nie po tém co do nich powodowało sądzi.

Hamburg.

Opuszczając Berlin, przejeżdża się z razu smutną okolicą. Między wały z piasku, tu i owdzie sterczy karłowata sosna, i ledwie się miasto opuściło, żadnego już śladu bliskości stolicy. Berlin nie jest jak Wiedeń, Paryż i Londyn otoczony wieńcem wiosek które go zasilają. Owszem zdaje się, że okolice jego mniéj jeszcze ludne niż reszta kraju. Minąwszy zaspy piasku wjeżdża się w równiny ogromne, smutne i opuszczone. Mało ziemi uprawnéj, szerokie pastwiska, czasem rzędy topoli, czasem chata samotna, lasów prawie nie ma, wsie niezmiernie rzadkie.

Liczne stada żurawi, jak okiem zasięgnąć, zaległy obszerne pola. Zimny wiatr co równiną leci od baltyckiego morza, pochyla wysoką trawę nizin i od słania bociana poważnie chodzącego w śród białych kwiatów bagien. Niekiedy widać stado pasących się owiec, niekiedy ciężki koń przeciąga z pługiem. Lecieliśmy taką okolicą godzin kilka, to jest aż do granicy meklemburgskiéj ziemi. —

Tu postać się kraju zmienia, i na wszystkie strony ukazują się odwieczne bukowe lasy tak gęste, że ledwie się w nie oko na kilka kroków zagłębia.

Raz stare drzewa zbliżają się do drogi ścieśnione, to znowu rozstępują się, w koło obszerne zostawiając halawki. Tu także więcéj pól uprawnych niż pastwisk, przecież kraj ludniejszy. Wszędzie z za drzew, z pod lasu wyglądają ogromne, samotnie porozrzucane chaty. Są to zwyczajnie mieszkania bogatych czynszowników, mieszczące po osób kilkanaście. Chata sama zwyczajnie ni-

ska, lecz dach jéj ogromny, najczęściéj kilka od niéj razy wyższy; otoczone do koła drzewami, zaledwie wyzierają z pomiędzy ich starych gałęzi. Nie więzione żadnemi rowami, wolno bujają wśród wysokiéj trawy prowadzące do nich oddzielne drogi.

Płytkie, wązkie rzeczki spływające do Baltyku, przerzynają kraj na wszystkie strony, i gdyby nawet wiatr coraz przenikliwszy nie oznajmiał bliskości morza, można by poznać, że się do północy przybliża. Coś jest zimnego, smutnego w każdym tutejszym obrazie.

Jakkolwiek kraj ten urządzony, te leśne okolice, te pola, po wielkiéj części nieuprawne, zachowały jeszcze jakąś pierwotną postać. Stanęły mi w oczach te liczne hordy, co ze Skandynawii i z nad baltyckich krain, usuwając się coraz na południe, na Rzym uderzyły. Wśród tych ciemnych lasów, wśród wysokiéj trawy, pól, co krwawy zachód słońca oświecał, zdawało mi

się nieraz, iż zobaczę występującą, wyniosłą postać Herula, lub Obotryty. Lecz ładny ogród ze strzyżonemi drzewami, a częściéj jeszcze jedna z tych obszernych chat, budziła mnie z zamyślenia i wracała w teraźniejsze czasy.

Koło murów mieszkania książęcego w Ludwigslust, gdzieśmy się czas jakiś zatrzymali, zaczęło się ściemniać, a gdyśmy stanęli na granicy Holsztynu, zupełna noc nadeszła. Nie mógłem więc nic widzieć z państw duńskich; co więcéj, chociaż w nich byłem, jednak w nich moja noga nie postała. —

W krótce potém stanęliśmy w Hamburgu. —

Kto tylko był w tém mieście, nie może żałować, że się spaliło; owszem chce się mu drugiego pożaru życzyć, tak się pięknie odbudowało. Strona przez pożar najwięcéj zniszczona, składa się teraz z ogromnych pałaców, a co rzadkie na pół-

nocy, są one dobréj architektury. Część ta jest prześliczna i piękniejszą żadne się miasto poszczycić nie może. Niemałą ozdobą są szerokie kanały, co się na wszystkie strony krzyżują. Co kilkadziesiąt kroków, kamienne lub bronzowe mosty, łączą poprzecinane przez wodę ulice. Sklepy jakie się tylko po wielkich portowych miastach i po stolicach zdybuje, ciągną publiczność do krążenia ciągle pod jaśniejącemi w wieczór filarami Jungferstigu. Jungferstig, jest to jedna z trzech ścian, złożonych z pysznych gmachów, które razem z czwartą stroną, gdzie leży publiczny ogród, zamykają wielką obmurowaną sadzawkę, utworzoną z odramienienia Elby.

Hamburg jest jedno z tych miast, na których dzień jeden równie dobrze jak i cały miesiąc wystarczy. Jest to miasto piękne, lecz nieposiadające żadnéj rzeczy prawdziwie godnéj widzenia, chyba bursę. Co dnia po jéj otwarciu, w przeciągu dzie-

sięciu minut cała się ta ogromna sala napełnia. Zpoczątku tworzą się grupy z kilku osób po kątach lub na środku. Późniéj patrzącemu z galeryi pierwszego piętra, zaczyna znikać z przed oczów biała kamienna podłoga i cała sala czernieje. Daléj już przepełniona wylewa masę ludzi na schody i w krótce na górnych galeryach przecisnąć się nie można. Nim wybije kwadrans po drugiej, o któréj się bursa otwiera, w całym budynku nie ma miejsca wolnego: krzesła, z których widać dolną salę, są naprzód jak na teatrach pozajmowane. Odwróciwszy się na chwilę, trudno pojąć zmianę, co zaraz nastąpiła.

Reszta miasta, to jest część jego stara, odrębne ma zupełnie piętno. Gdy w nowo odbudowanéj, proporcye domów bardzo wielkie, ulice szerokie; tu przeciwnie, w wązkich ulicach, domki kilkopiętrowie wprawdzie, lecz piętra tak małe, iż się z niemi oswoić nie można, przytém okna wszystkie

łączą się z sobą jak w okrętach, i jak w okrętach wyższe piętra nad dołem wystają.

Rzekłbyś, że jaki żeglarz, co na morzu całe życie przepędził, osiadłszy tu na starość, wymyślił taką architekturę, coby mu jego dawny zawód przypominała.

Hanower.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA Poznań

Patrząc się na karcie na kraj ten, bez gór żadnych, bez rzek prawie i z rzadko rozrzuconemi miasteczkami, zdaje się, że musi być jednostajnym, brzydkim i nieludnym. A jest to jednak jedna z najładniejszych i najweselszych części Niemiec.

Wszędzie wsie ładnie zabudowane, ogrody wieśniaków otoczone strzyżonemi płotami, i to z różnemi nieraz ozdobami: jak małe z drzew piramidy, kopułki, wszystkie bramy ogrodu także z drzew sklepione, przytém altany i rozpięte chłodniki. Przy wsiach liczne pałace z parkami albo stare-

mi szpalerami. Bity gościniec przechodzi ciągle wśród tak urządzonego kraju. —

Widząc, jak mało tu natura przyczyniła się do jego piękności, myślałem o naszém Wołyniu; nawet większemi obdarzony pięknościami, bo ma rzeki i lasy, a jednak iść z niém w porównanie nie może.

Oświata i udoskonalenie i jego także z czasem do tego stopnia doprowadzą. Niém będą się także kiedyś podróżni zachwycać . . . . Lecz ja, czy go takiém zobaczę?

Ta świeża zieloność północy, takie gęste drzew cienia, rzewnie mnie zajmowały; szkoda, że od nich źle odbija blade niebo, którego sklepienie zdaje się jakby wyższe niż na południu. Malarz dać by nigdy niechciał tego kolorytu swemu obrazowi: farby nadto ostro od siebie odbijają. Lecz podróżnemu każda się nowość podoba.

Któż nie wie, iż w Polsce braknie na miastach, to też, jak tylko widzę jakie ła-

dne, chociażby najmniejsze, mam zwyczaj myślą go niby zabierać. Każden wie, iż nasze nie dają mi prawa być trudnym w wyborze, to też wcale nie wymyślam; dla tego nieraz zachwycam się z wielkiém zdziwieniem towarzyszy podróży, nad jaką podług nich wcale nie szczególną mieściną. Ja tym czasem moją ideą fixą zajęty, dodaję sobie w myśli: żebym to ja mógł je przenieść do gubernii wołyńskiéj, do powiatu zwiahelskiego! —

Otóż dwa są miasta, co gdyby można je tak przenosić, nie przyjąłbym i odmówił: Karlsruhe, stolicę wielkiego księcia badeńskiego i Hanower. O Karlsruhe nic nie powiem naprzód, bo tu nie miejsce, a potém, że i tak o niém nic powiedzieć nie można. —

Co do Hanoweru to co innego. Trzeba było prawdziwego przeznaczenia, by król tutejszy i następca tronu byli obaj ślepemi; inaczéj mimo wdzięku każdéj, chociaż naj-

mniejszéj korony, nigdy by pewno tronu nie przyjęli. Bo nie można doprawdy sobie wyobrazić nic podobnie brzydkiego. —

Domy o kilku piętrach a drewniane albo z pruskiego muru. Tak niesilne budowle nie mogą być wysokiemi, to też pięć pięter tutejszych dwóch włoskich nie warte; są to rozmiary chat, a piętra liczne, jak po wielkich miastach, jak w Hamburgu. Przytém piętro pierwsze wystaje nad dołem, drugie nad pierwszém i tak daléj, im wyższe tém więcéj się na ulicę wysuwa. Co wszystko razem, dodawszy do tego, że domy są ciemne i brudne, najokropniejszy tworzy ogół.

Nie można pojąć, jakim sposobem, gdy w całych Niemczech upodobanie w wygodnych mieszkaniach doszło do tego stopnia, iż mnóstwo najdrobniejszych miasteczek składa się z pięknych kamienic, gdzie zwyczajnie ubogi rzemieślnik małéj mieściny lepiéj mieszka, niż u nas nieraz ma-

jętny człowiek, że w kraju takim znajduje się dość znaczne, tak jak Hanower zabudowane miasto.

Parę godzin, aż nadto wystarczyło dla zwiedzenia miasta mnie, który tylko tyle oglądam, ile mnie to bawić może. To też wracałem do mego hotelu, gdy mi się zdało, żem dłuższą wziął drogę. W małém miasteczku, nawet po godzinie pobytu łatwo się zoryentować, lecz żem był zmęczony daleką wycieczką do pięknych za miastem ogrodów, nie chciało mi się i kilka kroków nałożyć i obracając się do dwóch przechodniów, prosiłem o wskazanie drogi do debarkaderu, koło którego stał mój hotel. —

Hanowerczycy ofiarowali mnie przez parę ulic przeprowadzić, a widząc żem cudzoziemiec, spytali, jak mi się ich miasto podoba. —

Dałem im odpowiedź dość zawikłaną, do czego mi mój zły akcent nie mało do-

pomógł. Jednak zrozumieli, że nie byłem zachwycony, i gdym się takiego podejścia ani spodziewał, pod po pozorem wskazania mi drogi, zaczęli pokazywać jedne po drugich tutejsze piękne budowle.

Po niejakim czasie spostrzegłem się o tém, lecz tak to było robione grzecznie, tak widać było, iż chcieli mi o swojém smutném miasteczku najwyższe dać wyobrażenie, że nie wiedziałem, jak się wyprosić. Szczęściem zobaczyłem w przestrzale ulicy debarkader i korzystając z tego, opuściłem ich wreszcie.

Wejmar.

Późną nocą stanąłem w Wejmarze, nic więc tego dnia zwiedzać nie mógłem.

W ciemnéj, brudno zielonéj sali małéj oberży (to jest największego tu hotelu) siedziało kilku podróżnych, nie wiele o tutejszych wielkich ludziach, dużo o jedle myślących. Tak mi się przynajmniéj zdawało, nie mogę jednak za to ręczyć, bo w klasycznéj ziemi marzenia, godzi się ono bardzo dobrze z kawą i piwem.

Na ścianach, jak zawsze wśród anonsów różnych z całych Niemiec hotelów, harcował Napoleon. Tylko przedstawiony był

w bitwach pod Moskwą i Austerlitz, a nie w miejscowém tutejszém zdarzeniu, mówiący:

„Kto jesteś pani.“

Tak w Austryi za to widać tylko ryciny wystawiające go nad Moskwą i pod Jeną. To dowodzi takt mieszkańców, jak takt malarza dowodzi ta tak upowszechniona w Niemczech rycina rozstania się Napoleona z Maryą Ludwiką. Napoleon stoi rozrzewniony, ona siedzi odwrócona — czy płaczę? Może się śmieje.

Widząc tak niezliczone ryciny Napoleona zasypujące kraj ten cały i w których każden tylko swoją miejscową miłość własną ocalić się stara, nie można nie przyznać, że Niemcy są dziwnym ludem. Lubią tych, co ich ciemiężyli i dobrze bili. Niewdzięczni dla tych, co ich bronili, nienawidzą tych, którym źle czynili. —

Napoleona i Gustawa Adolfa ubóstwiają, zapomnieli Jana III., i długo jeszcze Polakom nie darują tarnowskiéj rzezi. — Za-

chwycenie zwłaszcza dla Napoleona coraz wzrasta i rozumie się, gdy rozstrzelać kazał Schila i Hofera.

Za kilka wieków ich uczeni niezrażeni żadną trudnością zaczną dowodzić, iż był rodowitym Niemcem.

A Kopernik? —

A Karol Wielki, czyż nim nie był? Że się lat tyle bił z Saksonami, to tylko były wojny religijne.

Napoleon, jeżeli był cesarzem Francuzów, to był też razem protektorem rzeszy. Argumenta używane na udowodnienie germańskiéj rodowitości Karola nie są silniejsze. To też zapewne Niemcy niezadługo dowodzić zaczną, iż do sławy jego wszelkie mają prawa. Zaprawdę, nie mało się do niéj przyczynili. —

Niemcy z upodobaniem przypominają sobie czasy napoleońskie, co dziwniejsza z dumą wojnę tak zwaną wyjarzmienia (1813). Zapominają o kilkukroć stotysięcach regu-

larnego wojska, o pomocy Szwedów, Rosyan i Węgrów, o tém, iż z tyłu Francuzów atakowali Anglicy, Hiszpanie, Portugalczycy i z przekonaniem dowodzą, iż wybicie się Niemiec a ztąd upadek Napoleona przypisać należy męztwu ochotników! ochotników, których, gdyby nie piękna śmierć poety Koernera, ani by ślad w dziejach pozostał.

O tém myślałem, gdy rycina cesarza Francuzów wywołała też jedną z tak częstych w owych czasach rozpraw, w których tak łatwo swoją erudycyą pokazać; to też znudzony opuściłem pokój, właśnie gdy się bitwa pod Dreznem zbliżała.

Nazajutrz poszedłem odwiedzić groby Schillera i Goetego.

Na bladém niebie jesienném jaśniało zemdlone słońce. Rzędy krzewów bez liści, trawa mogił uschła i żółte gałązki wierzb płaczących schylające się nieruchomie do ziemi, wszystko to czyniło widok smutny, cichy i obumarły. Lecz i w téj późnéj po-

rze roku nie zapomnieli o umarłych żyjący. —

Ciemne wieńce rozmarynu i myrtu nieomal na każdéj mogile; tu bukiety z nieśmiertelników, tu gałązki cyprysu, tam pielęgnowanych starannie kilka jesiennych kwiatów.

Jedna mnie z mogił zwłaszcza ściągnęła, jeszcze ją trawa nie była porosła, jeszcze się nawet ziemia nie złożyła. Cała smutnie ubrana w kwiaty i wieńce i jeszcze nie zwiędłe wstążki; był to grób młodéj dziewczyny. —

Pewnie to było spokojne, lekkie, ciche życie, pewnie szczęśliwe, bo krótkie.

Jest jakaś dziwna, niezrozumiała przyjemność dla dalekiego, nieznanego podróżnego, nieznane zwiedzać grobowce. Przyszedłem dla sławnych, a te mnie zatrzymały. Zacząłem błądzić z mogiły na mogiłę, od krzyża do krzyża. Mało też jest tak pięknych cmętarzy, jak niemieckie. Ka-

żden z nich, nawet w najmniejszém miasteczku, wygląda jak ogród. Włoskie cmętarze pyszne, lecz marmur raz obrobiony w bolesną twarz rozpaczy, nie wymaga więcéj starania; tu wiele krzyżów drewnianych i proste z ziemi mogiły, lecz ileż o nie starania. Tak w jednéj z bocznych ulic cmętarza, widziałem starą damę, któréj postać wyższy stan okazywała, pielącą jednę z mogił.

Pierwszém uczuciem było uszanowanie; lecz gdy się oddaliła, ciekawość, ten obowiązek podróżnego zastąpił jego miejsce, zbliżyłem się i na biednym małym krzyżyku wyczytałem datę 1834. Lat trzynaście! Powiedz każden, czy widoku téj troskliwości o umarłym nie wolałby od jakiego skrzydlatego Torwaldsena lub Bartoliniego anioła, który jeszcze może lat parę set będzie płakał koniecznemi łzami.

O ile myśli co téj ostatniéj posłudze towarzyszyły, musiały być wznioślejsze i tkliwsze niż liczne pacierze za umarłych.

Widok taki godzi z żywemi, pociesza dla umarłych.

To zapomnienie, co się tak prędko nad niemi rozciąga, czyż nie uniża nas więcéj, niż nie jedna zbrodnia. Czyż nie każe prawie wątpić o nieśmiertelności. Jak ma być dusza nieśmiertelną, któréj uczucia śmiertelne.

Grobowa kaplica książąt wejmarskich, w greckim stylu stawiana, wznosi się w głębi cmentarza. W niéj też są groby Schillera, Goetego i Herdera, co ile mi powiadano, ma być dla nich wielkim zaszczytem. Temu winien jestem, żem nie mógł widzieć ich pomników, bo nadworny grobowiec wielkoksiążęcy, tak się długo nieotwierał, aż dla spóźnionéj godziny musiałem do miasta wracać.

Pozostały mi do zwiedzenia w Wejmarze domy dwóch poetów. Schillera dom, mały, bez żadnego stylu, ani smutny ani wesoły; wygląda, jak tyle innych kamienic

po małych niemieckich miastach, ale za to prosty i skromny; gdy tymczasem Goetego większy, pretensyonalny, lecz wcale nie piękny.

Z okien kamienicy Schillera, wyglądają liczne posągi wielkiego poety. Białe, jak duch czysty wieszcza, ożywiają opuszczone mieszkanie.

Ten wielki geniusz, co jaśniał na granicy dwóch wieków, zgasł młodym jeszcze. Pysznego Pozy twórcy, uczucia wysiliły ciało. On i Bajron są to rzadcy poeci, których życie chociaż nie bez nagany, odpowiadało pismom. Obaj czuli swoją poezyą i obaj wcześnie skończyli, zdaje się, jakby nie mogli znieść lat zimniejszych. Goete, artysta wyrachowany, chłodny, poeta głową tylko, będzie zawsze ciekawém zjawiskiem, gdy nic nie czując, tak dobrze uczucia oddawał. Lecz ten wielki geniusz był miernym człowiekiem.

To też dom Schillera ze wzruszeniem podróżny zwiedza, z zimną ciekawością ogląda mieszkanie Goetego.

Jakby z odbicia pism ich, tu czuje się sercem, tutaj głową tylko. Dziś Niemcy wysilone nie rodzą już takich umysłów i może nie tak je cenią.

A chociaż dzieła Schillera i Goetego w szafach każdéj biblioteki, rzadziéj jednak na stolikach.

Jeżeli jeszcze uczeń jaki, lub młoda dziewczyna czytają Karla i Margarytę i marzą jak oni, to większa część jednak rzuca się do francuzkiéj literatury. Tłomaczenia tak szybkie, że idą tom w tom za oryginałem, oznajmiając publiczność z utworami francuzkich autorów. —

Patrząc, jak w Niemczech i u nas tłomaczenia płodnych i licznych, chociaż nie zawsze dobrych autorów, zgubny wpływ na literaturę wywierają, jak szkodzą, jak wstrzymują młodych pisarzy; prawie się chce za-

dać pytanie, czemu, gdy dla podniesienia krajowych rękodzieł zagraniczne wyroby cłom podpadają, czemu równie dla podniesienia rodowitéj literatury na tłomaczenia cła nie nałożą.

Romans stał się dziś nieodzowną potrzebą. Można krzyczyć na romanse, ale ich wypędzić nie można. Tyle osób potrzebuje odpocząć po próżniactwie, lub myśleć cudzemi myślami. Więc, gdy złemu (jeżeli?) zapobiedz nie można, czemu się nie starać, byśmy je sami mogli krytyką i dobrym gustem cenzurować.

Dobrych romansopisarzy dziś brak zupełny w Niemczech. Przypisać to jednak trzeba nie brakowi zdolności; lecz przewadze francuzkich tłomaczeń. U nas oprócz trudności języka w rozmowach tę samą znajdujemy przeszkodę. Co jest dziwném i smutném razem, to, iż nie Balzak i Zand, mający niezaprzeczoną wartość; lecz Sue a zwłaszcza Dumas największą mają wziętość.

Po czytelniach nieustannie się pytają o d'Artagnana. Niestety! Czy czytająca Muskety i królową Margot dziewczyna, zainspiruje jeszcze drugą Margarytę?

Ci co Niemców zbliska znają, mówią, iż w nich od lat kilkunastu, wielka zaszła zmiana. Sarkazm Voltaira, choć bardzo spóźniony, oddziałał i na nich. Gdy Francuzi piszą jeszcze i mówią wiele o naiwności, zapale i łatwowierności germańskiéj, niedowiarstwo, ironia, całkiem ich charakteru piętno zmieniły. Dążności te zapewne, iż pod względem materyalnym i politycznym korzystnie działać będą. Pod względem poezyi wszakże i ogólnie literatury, na czas długi zgubny wpływ wywierają. Odejmą tworczość niemieckich umysłów, a przenikliwéj ironii nie nadadzą. Chyba zapatrując się daléj na Francyą odrodzą się w nowym jéj mistycyzmie, w nowych systematach. —

Turyngia.

Niedaleko za Wejmarem zaczynają się wzgórza Turyngii, a na trzech prawie pierwszych górach, stoją ruiny trzech bliskich siebie zamków.

Osoby jadące ze mną w tym samym powozie, zaczęły rozmawiać o znanéj w tych stronach ich legendzie. Zwą się one *Drei Gleichen* (trzy podobne) i takie o nich podanie. Dawno już temu bardzo, pan jednego z tych zamków, a dwóch innych jeszcze nie było, miał dziwne w jednostajności upodobanie.

Jak stał jego zamek na ostréj górze, tak na dwóch ostrych pobliskich dwa inne zamki wystawił. Dwa zamki owemu dawnemu podobne. Każdéj ścianie odpowiadała ściana, każdemu oknu odpowiadało okno i wieża wieży odpowiadała. Dwa liczne, tak samo odziane dwory, zaludniły dwa nowe zamki. Lecz po krótce się pan Gleichen opatrzył, że gdy miał trzy zamki, trzy dwory, miał tylko jedną żonę. Dla symetryi więc zapewne tylko, pojął dwie inne. Dotąd się wszystkie opowiadania zgadzają; lecz tu ci (a takich zawsze dużo) co w żadne zasady, w żadne przekonania nie wierzą, którzy zawsze jakiś tajny cel widzą, mówią, iż charakteru nie utrzymał, i że chociaż pojął dwie równie piękne żony, wziął je jednak znacznie młodsze od pierwszéj. Ja temu dać wiary nie mogę. Co bądź, odtąd pan Gleichen zawsze regularnie swe zamki objeżdżał. I żył tak długo, zapewne szczęśliwie, gdyż czwarte-

go nie wystawił. — Ztąd szła daléj rozmowa o tém, do kogo należą i ztąd sprzeczne zdania, aż wszystkich pogodził z garbatym mocno nosem, z ogromnemi wąsami mężczyzna; mówił, iż dziś są w posiadaniu króla pruskiego i że wie to z pewnością, bo sam jest Gleichen.

Pan feodalny wchodził znienacka na scenę, jak w starym romansie, albo dramacie. I może dla tego został przezemnie niedowiarstwem przyjęty; lecz z późniejszéj rozmowy z jedną z osób przytomnych, co część familii jego znała pokazało się, iż był nim w istocie. —

Gdy jeszcze dodam, że w tym samym powozie siedziała śliczna osoba, jakiż czytelnik nie pomyśli, iż się przybliża jedno z tych opowiadań zabawnych u Dumasa, nudnych u Souliego, które tak podróżopisarze lubią. —

Niech co chcą mówią romansiści i dramaturgowie, przysłowie o wilku i jego o-

gonie zdarza się tak rzadko, iż nie chcąc zupełnéj ufności czytelnika stracić, nie sposób z nich korzystać. Dla tego więc zostawiam hrabiego Gleichen i ową ładną osobę razem jadących, a sam się w inną udaję stronę, dodając jednak dla powstrzymania wyobraźni czytelnika, któryby koniecznie się upierał widzieć w tém początek romansu, iż jego bohater zbliżał się już do lat czterdziestu, i że rysy mocne, które mogłyby się dobrze pod hełmem wydawać, w grubym surducie, w angielskiéj czapce, traciły na wdzięku. —

Po południu stanęliśmy w Eizenach. Jest to stolica jednéj cząstk i wielkiego księztwa wejmarskiego; leży wśród gór, raczéj wśród wzgórz Turinger-Waldu i jest jedną z dawniejszych dzielnic saskich książąt.

Nad niém, na pochyłéj górze z pośród świerkowego lasu, co jéj skalisty wierzch okrywa, widać zamek Wartburg. W tym zamku, pod opieką saskich książąt, prześla-

dowany Luter długo przesiadywał. Odtąd zamek ten dla jego licznéj sekty stał się celem pielgrzymek i jakby świętém miejscem. Widać po kilku, kilkunastu pastorów, idących z czcią odwiedzić reformatora mieszkanie. I stronnicy tego, co uczył w świętych i relikwie nie wierzyć, kupują tu, jak relikwie, mnóstwo drobiazgów z tutejszego drzewa wyrabianych, i które, jak przedający łatwowierniejszym daje do zrozumienia, mają być robione z krzesła, albo łóżka Lutra. —

Przyznając mu wyższy umysł, nie miałem jednak nigdy sympatyi do tego opasłego, cynicznego mnicha, i gdyby tylko dla jego wspomnienia, nie byłbym zapewne szedł na górę. Lecz zamek sam z siebie wart jest zwiedzenia; jest to jedno z rzadkich średniowiecznych mieszkań, którego zabudowania dobrze się utrzymały. Gdy się przez ciemną bramę w wieży weszło w dziedziniec, ogół jego, tak zachowany,

przenosi myśl o kilka wieków. Za to pokoje mieszkalne uległy zniszczeniu. Tylko pokój Lutra zupełnie jest takim jakim był wprzódy. Wszystkie meble datują z szesnastego wieku. Na bielonéj, ściemniałéj ścianie, widać dotąd ślad kałamarza, którym sławny reformator cisnął, chcąc dosięgnąć szatana, co mu się raz ukazał, gdy późno w nocy pracował, i który mniéj zręczny niż zwyczajnie, nie spostrzegł się wczas, iż niecierpliwi słuchacza. Trudno mi w tę Lutra łatwowierność wierzyć; jednak jeśli udawał, łatwiéj mógł by się chwalić wizytą Pana Boga, niż diabła.

Co mnie w tym zamku bardzo zajęło, to sala, gdzie za czasów rycerskich zwołani z całych Niemiec minstrele o pierwszeństwo się ubiegali.

W końcu zapasów dwom, to jest Henrykowi z Ofterdingen i Klingsohrowi, wszyscy ustąpili i ci się nawzajem wyzwawszy, walka między nimi się rozpoczęła. Sę-

dzią tego dziwnego turnieju był landgraf Turyngii, a zwyciężony gardło miał pod miecz położyć. Lecz się inaczéj skończyło. —

Jest tu téż bardzo zajmująca zbrojownia. Zbroje Goetza z Berlinchingen, owego zawołanego naczelnika chłopów, którego Goete jeszcze więcéj wsławił. Zbroje jednéj księżnéj saskiéj, widocznie dla kobiety wykute. Zbroje sławnego rozbójnika Kuntz z Kaufungen, których ciężkość większe mi jeszcze o jego potędze dała wyobrażenie, niż opowiadane legendy, gdyż z niemi co chwilę o ucieczce nie można było myśleć, i trzeba było wstępnym bojem walczyć. Pokazują tu także broń, z czasów owéj wojny chłopów, co w szesnastym wieku całe Niemcy krwią zalała. Jest to przy końcu mocnego kija przykuty łańcuch, na jego końcu kolczasta żelazna kula. Tą bronią bez trudności sam jeden człowiek mógł nieraz odpierać oddziały z kilkunastu ludzi. Lecz

upowszechnienie i ułatwienie w używaniu broni palnéj odjęło jéj znaczenie.

Okolica ta jest bardzo piękna, sam widok z Wartburga na dzikie skały, co go otaczają, jest dziwnie romantyczny.

Na przeciwnéj Wartburga górze, stał także zamek, lecz jeszcze dawniejszy i dziś z niego tylko to co było w skale kute pozostało. Koło szczytu téj góry widać dwa ogromne kamienie: jeden ma postać zupełną mnicha z kapturem, drugi zakonnicy. On niby coś mówi, ona się odwraca i tak skamienieli.

Te dwie skały dziwniejsze jeszcze w miejscu, gdzie się działa historya Marcina Lutra i Katarzyny z Bora. Wśród ładnych wzgórz Turyngii przechodzi bity gościniec, co idzie do Frankfurtu.

Po obu stronach płotek ze strzyżonych świerków lub grabiny, co kilkaset kroków ławka jak w ogrodzie, i żeby się nieprzenudziło, coraz innego kształtu. —

Przez jakie państwa z Wejmaru do Frankfurtu jechałem, tego sam nie wiem; szło nie raz koło jedne po jedném księztwie, drugie po inném. Co zabawnego, to że w tych małych kraikach, urzęda, etykieta, intrygi, takie jak na dworach państw większych, nawet ambicya się tu znajduje, a co dziwniejsza jeszcze, raz się znalazłszy potrafiają się zadowolnić. —

Jechałem z jakimś panem z Brunszwiku, którego zięć był wielkim koniuszym; i on także musiał czémś być, tylko przez skromność nie mówił. Opowiadał on ciągle historye swojego dworu.

Książę brunszwicki jest nieżonaty, co bardzo kraj jego smuci, bo dla braku bliższych następców, w razie jego śmierci dostaje się księztwo prawem sukcesyonalném królowi hanowerskiemu.

Książę jest wielkim wielbicielem płci pięknéj w ogóle. Dla tego zapewne żadnych szczegółowych ślubów zawierać nie

chce. Gdy wszelkie przedstawienia rady zdecydować go na ożenienie nie zdołały, zebrana izba poselska, w długiéj i zapewne pięknéj mowie, usiłowała go do tego nakłonić. Książę wzruszony przyrzekł dać w wieczór odpowiedź i wszystkich na dworski teatr zaprosił. Każden się stawił, podnosi się kortyna, dają sztukę pod tytułem: *Nie, ja się nigdy nie ożenię.* —

Jakkolwiek niepomyślna, wszystkich jednak ta odpowiedź ubawiła. I długo jeszcze cieszyła ta historya wszystkie grona towarzystwa brunszwickiego, jakich niebądź odcieniów. Tylko parę ministrów tajnie do demonstracyi podbudzających spuściło głowy. Ztąd jeszcze nastąpiła jedna, czy dwie, odezw śmiałych, późniéj modyfikacya ministeryalna, znowu parę mów odznaczających się, nakoniec i zmiana gabinetu. —

Na to Anhaltczyk z Koeten Dessau, czy Bernburga ze swoją wystąpił powieścią i

ta mi się więcéj podobała; książę jego wyczytał kiedyś to dobrze znane zdarzenie. Raz jadącemu w odkrytym powozie Napoleonowi wiatr zrzucił kapelusz z głowy; przechodzący blisko powozu porucznik podniósł mu go i oddał. Dziękuję kapitanie, rzekł zamyślony cesarz, nie podnosząc głowy.

W jakim pułku? spytał porucznik. Napoleon postrzegł pomyłkę, lecz, że mu się przytomność podobała, w gwardyi, dodał.

Na drugi dzień po dowiedzeniu się o tém, staje Anhaltski książę na balkonie pierwszego piętra w swoim zamku, dobywa chustkę z kieszeni i rzuca ją na dół koło szyldwacha. Żołnierz nie mogąc warty opuścić, przechadza się daléj. Książę mówi mu, żeby chustkę podniósł. Szyldwach zna swój obowiązek, i z swego miejsca się nie oddala. Zniecierpliwiony panujący z gniewem mu tą razą przynieść ją rozkazuje. Przestraszony żołnierz przynosi. Jesteś majorem, rzekł książę. W gwardyi, dodał zdzi-

wionemu żołnierzowi, który dla małości wojska, gdyby chciał nie mógł spytać w jakim pułku.

Te same historye, lecz na mniejszą jeszcze skalę dzieją się u medyatyzowanych książąt, którzy jeszcze w znacznéj części siedzą w swych dawnych państwach, ciesząc się ostatkami zostawionych im przywilejów i uszkodzonéj etykiety.

Ci jednak w tym swoim upadku, tę mają korzyść, iż nie są zmuszeni całe życie w małych pędzić miasteczkach. Na dworze domu lotaryngskiego, z których kilku dawniéj nad całemi Niemcami władało, mniéj ich duma cierpi niż u mniejszych panujących, którzy szczęśliwiéj od nich przebyli traktat wiedeński, dla tego wielu ich w Wiedniu mieszka. Lecz ogólnie młodzi idą do wojska, gdzie im jest zapewniony szybki awans.

Wielką część dalszéj do Frankfurtu drogi noc mi zakryła, tylko przesuwały się ciemne miasteczka z murami staremi,

gdzie nieraz okno gotyckie, dawna wieżyczka lub strzelnica zapomniana wśród zniszczeń wojen wyglądała między wysokiemi kamienicami. Wsie są ubogie, w oknach chat sześcioszybowe okna brzęczą oprawne w ołów, jak przed dwiestą laty. Przez nie pokazuje się, oświecone tlejącą lampą lub świecą, odymione, drewniane wnętrze, w którém nędza, choć strojniejsza niż u nas, widoczna jednak bardzo. —

Przede dniem stanęliśmy w Fuldzie, dużém, czarném mieście, naprzeciw rezydencyonalnego pałacu jakiéjś zagasłéj linii. Latarnia przeprzęgających odbijała w ciemnych szybach smutnego gmachu i oświecała kolejno, bez liści stare drzewa ogrodu.

Bliżéj jeszcze Frankfurtu, przejeżdża się przez Gelnhausen, dawny wolny zamek cesarski. Było tu, jak mówi tradycya, ulubione mieszkanie sławnego Fryderyka Barbarossy. Jeszcze dotąd widać odłomy z murów zamku jego. —

Jest także tutaj kościół z jedyną krzywą wieżą w Niemczech. Nie jest to istotnie krzywa wieża, tylko wysoki dach na niéj krzywy. To téż wygląda to jak na bakier nałożona czepka. —

Akwizgran.

Krótko trwała wielkość Akwizgranu, lecz chociaż przemijająca, świetne jednak mu miejsce naznaczyła w dziejach świata. Był on stolicą Karola Wielkiego. I po kilkunastu wiekach, to wielkie imię, bez podziału napełnia dotąd miasto. Ratusz był jego pałacem, katedra jest jego grobowcem. Z pałacu, oprócz murów nic się nie utrzymało. W kościele wiele pozostało. —

Karol Wielki kazał się siedzącym na kamiennym tronie pochować. Przez kilka wieków nikt nie śmiał grobu otworzyć. Do-

piero Otton Trzeci zamurowane wnijście odbić kazał. Gdy ze swym dworem cesarz żywy, przyszedł odwiedzić wielkiego zmarłego cesarza, Karol siedział poważnie na tronie z koroną na głowie i z berłem w ręku. — Prawda jednak wymaga, bym dodał, iż chociaż siedział poważnie, jak mówi kronikarz, siedział jednak bez nosa. Otton kazał mu złoty dorobić i znowu wnijście zamurował. Później zmieniono wielkiego władcę w świętego, a kości w relikwie. Dla tego zwłoki jego rozdrobione, czczone wprawdzie lecz nie szanowane, rozeszły się na różne strony. W zakrystyi pokazują oprawną w złoto, świecącą się, ciemną czaszkę i ogromną kość ręki. *Carolo-Magno*, te słowa wyryte na dużéj marmurowéj płycie, uderzają podróżnego oczy. Piękny napis, ale zapewne daremny, bo mało co w trumnie pozostać musiało. Zakrystya jest prawdziwém muzeum karlowingowskich cza-

sów. Zajmuje zwłaszcza krzyżyk złoty, co nosił Karol na piersiach, i róg jego myśliwski z jednéj sztuki kości słoniowéj, tak ciężki, że ledwie go chwilę w ręku utrzymać mogłem.

Gdyby i nie te pamiątki, zabytki, katedra zawsze byłaby godną widzenia. Jest ona cała stylu bizantyjskiego, którego tak mało na północy, bo nadchodzący gotycki, swym wdziękiem tak prędko się rozszerzył, że nawet już porozpoczynane kościoły podokończał. Nad Renem widać dużo katedr, których spód jest bizantyjski, lecz dokończonych w tymże stylu, oprócz akwizgrańskiéj, nie ma żadnéj.

Chociaż znaną jest, jak wszystkie tych stron, muszę jednak pokrótce powtórzyć legendę założenia miasta. —

Wiadomém jest, iż Karol Wielki długo nie znał stałego mieszkania. Chociaż pierwszym był na północy założycielem oświaty, ko-

czował jednak długo, jak barbarzyńskich hord królowie, ciągle się z miejsca na miejsce przenosząc. Za nim się przenosił dwór i wszystkie władze ogromnego państwa.

Może sprawiedliwość nie była dobrze wykonywana, gdy wyroki przy owczesnym stanie dróg mogły i blisko roku za cesarzem jeździć. Co bądź, tam gdzie był, nieomieszkiwał jéj wymierzać jak najprędzéj i z tą słusznością, co się zawsze w wielkich umysłach znajduje. Kiedyś, bawiąc w swym pałacu nad jeziorem zurychskiém, kazał przed nim postawić słup z dzwonem.

Kto tylko żądał posłuchania dzwonił, a cesarz zaraz się ukazywał. —

Raz dzwon dał się słyszeć, a nikogo przy nim nie znaleziono. Gdy się to raz, drugi i trzeci powtórzyło, kazano paziowi ukryć się koło kolumny, dla odkrycia dzwoniącego.

Po jakimś czasie, nie bez strachu, nie bez zdziwienia, obaczył paź dużego węża, wyłażącego z nadbrzeżnéj jaskini, zawieszającego się na sznurze i dzwoniącego.

Uwiadomiony o tém wśród uczty, Karol Wielki wstał zaraz od stołu, mówiąc, że kto kolwiek żąda jego sprawiedliwości, będzie ją miał wymierzoną. Obaczywszy wielkiego cesarza, wąż pokłonił się trzy razy, zwrócił się i nazad do swéj jaskini przyczołgał. Cesarz ruszył za nim z całym dworem. Przy wnijściu jamy zobaczono ogromną ropuchę. Widocznie żądał on wypędzenia zajmującéj nieprawnie jego mieszkanie. Czyniąc mu zadość, kazał Karol Wielki ropuchę zabić.

W kilka dni potém ze zdumieniem przytomnych wąż wszedł do godowéj sali, a ukłoniwszy się jak pierwéj trzy razy, przybliżył się do czaszy i wrzucił w nią piękny

kamień. — Później, zachowując zawsze dworski ceremoniał, wrócił do siebie.

Kamień ów Karol Wielki darował cesarzowéj, która odtąd zawsze go we włosach nosiła. Miał on przymiot ów rzadki, że na osobę, co go posiadała, zwracał całe przywiązanie cesarza. Od tego też czasu miłość jego ku żonie podwoiła się. A cesarzowa poznawszy, że jemu to przywiązanie winna, nigdy się już z nim nie rozstawała i umierając jeszcze pod język schowała. Karol też z jéj ciałem rozstać się nie chciał, i zawsze za sobą woził.

Zdziwiony tak nadzwyczajném przywiązaniem, arcybiskup Turpin domyślał się, iż to muszą być czary i szukając w trumnie talizmanu, znalazł ów kamień. —

Cesarz odtąd tak polubił arcybiskupa, że oddalać mu się nie pozwalał, aż Turpin nakoniec znudzony rzucił w przejeździe ów kamień w źródło. Przestał lubić arcybi-

skupa Karol Wielki, lecz kamień przez to nie stracił wartości i całe przywiązanie cesarza zwróciło się na miejsce, gdzie leżał. Tu zbudował miasto i pałac wystawił. Zwłaszcza jeziora przezroczyste wody, dziwny jakiś dla niego wdzięk miały. Czasem długie godziny zamyślony siedział nad jego wodami, patrząc w nurt głęboki.

O, jakbym ja chciał taki talizman wynaleść, coby mnie na miejscu zatrzymał!

Kolonia.

Kolonia jest to miasto duże i najludniejsze nad Renem. Można też powiedzieć, iż tu jest węzeł wszystkich wielkich dróg europejskich. Tu się schodzi linia wschodnia żelaznéj kolei, co idzie z Wiednia, Krakowa, Berlina, i która wkrótce dosięgnie Warszawy, z tą co z Paryża i z Londynu przez Ostendę od zachodu leci. Gdy tymczasem linia wodna Renu, idąca z południa na północ, w tém miejscu ją przecina. To też dziś podróżując po Europie prawdziwa byłaby trudność ominąć Kolonię. —

Ten wielki szlak turystowski, co od Renu idzie do Neapolu, tu się zaczyna. To też nie mały tu zbiór podróżnych. Możnaby lat kilka siedzieć w Berlinie albo Wiedniu, a nie obaczyć jednego turysty z guidem w ręku. Tu jak we Włoszech ich pełno. Zaledwieś stanął na ulicy i podniósł głowę, widzisz na drugim końcu zatrzymującego się, także otwierającego książkę i pilnie szukającego, co cię tak zastanawia. Zwłaszcza koło katedry, niezliczone tłumy turystów; kilku przewodników czekających na placu oprowadza po niéj od rana do wieczora coraz to inne towarzystwa. Jest to bez wątpienia arcydzieło gotyckiéj sztuki lecz tak dotąd dalekie ukończenia, że więcéj jeszcze trzeba zgadywać niż widzieć. Prawie żadna myśl architekty nie jest zupełnie wykonaną. Te poprzerywane wieże, sklepienia, nadają gmachowi postać pięknych zwalisk, zwłaszcza że kamień już zcie-

mniały dawnych wieków nosi cechę, i że między koronką rzeźb gotyckich rośnie gęsta trawa, a nieraz i krzewy się puszczają. Bez wątpienia bardzo one ozdabiają, lecz zwolna budowli szkodzą, zapuszczając korzenie w szczeliny kamieni i wzruszając je z czasem.

W Indyach, wśród bujnéj równika wegetacyi, słabe powoju korzenie wzruszają ogromne głazy i niszczą w krótkim przeciągu czasu najwspanialsze gmachy. U nas na północy trudniéj się to dostrzegać daje ich działanie, jednak choć wolniejsze znaczne jest także.

Najmilszą i można powiedzieć jedyną miasta przechadzką jest most na Renie. Jak zawsze, ma publiczność racyą w swoim wyborze, bo ztąd widać wspaniałą rzekę i miasto, które się znikąd tak dobrze nie wydaje.

Pod zachód słońca, cały łodziowy most

ugina się pod przechadzającemi. Ciężkie omnibusy łączące dwie żelazne drogi, co leżą po dwóch brzegach, napełnione podróżnemi, przesuwają się ciągle. Z nich wyłazi ciekawych głów mnóstwo. Są to turyści, co po raz pierwszy Ren oglądają.

Na rzece też saméj wielki ruch statków, co na dół i do góry idą. Nieraz most się przerywa, żeby je przepuścić. Wtedy spacer ustaje, i każden się patrzy kogo nowego Anglia lub Szwajcarya przysyła. —

Turyści na Renie.

Cały pomost tak był okryty podróżnymi, że już okrążające go ławki nie wystarczały i musiano z kajut powyciągać zdradliwe składane krzesła. Stoły pokrywały karty Renu, ryciny, guidy i lunety. Widoczny między turystami panował zapał. Najwięcéj, jak zawsze Anglików i jak zawsze dużo ładnych Angielek. Francuzów także było łatwo poznać: albo wystrojeni, jak na pola elizejskie, albo zupełnie niedbale, na-

wet brudno ubrani. Zresztą niemal wszystkie europejskie narody, miały swych reprezentantów. Byli nawet i Niemcy: łatwo można ich było poznać po krzywych nogach, miodowym uśmiechu i okularach, (na pięciu Niemców, przynajmniéj jeden je nosi, w Berlinie zwłaszcza wyjść bez nich na ulicę, jest zupełną oryginalnością.) Co także do charakterystyki ich należy, to nieustanne procesa tych, co wziąwszy drugie miejsce, na pierwsze się wkręcić usiłują. —

Do powiększenia zamieszania, przyczyniały się jeszcze rozpięte namioty, o które głowy zaczepiały, gdy tymczasem mnóstwo dzieci plątało się między nogami.

Tłum podróżnych, zawsze w téj stronie tak znaczny wśród lata, jeszcze tą razą był większym, bo kilkodzienne słoty zatrzymały w Kolonii niezliczoną liczbę turystów, szukających dnia pięknego, by się nacieszyć tak zachwalanemi brzegami Renu.

Dzień był pochmurny, lecz ładnie się nam wydał po tygodniowéj niepogodzie. —

Brzegi rzeki są płaskie koło Kolonii, ale tyleśmy się o ich piękności naczytali, że nikt się nie patrzał na miasto, którego pyszne wieże wśród rzędów kamienic, ukazywały się jeszcze w oddaleniu.

Wszystkich oczy były naprzód zwrócone, wszystkie lunety szukały wzgórz wychwalanych.

Na wspólne nasze nieszczęście, siadł koło mnie jakiś stary Francuz, który wyjechał z familią na parę tygodni z Paryża, dla zwiedzenia Belgii i Niemiec. Jak mi powiadał, mógłby on tę podróż prędzéj odbyć, ale chciał bardzo dokładnie te kraje zwiedzić, dla tego im tyle czasu poświęca. Jednak Belgia wzięła mu tydzień na Niemcy, więc tylko tydzień pozostawał. —

Że mimo to mówił dobrze, że był otoczony książkami, co mnie zawsze ujmuje,

prędzéj niż zazwyczaj zrobiłem z nim znajomość.

Mówię, żem tę znajomość zrobił na wspólne nasze nieszczęście, bo nam natura takie same udzieliła układy; obadwaj wpadliśmy naprzód na niewidziane w największy zapał. —

Ja utrzymywałem, że niczém są w porównaniu z niemi piękności całéj reszty Niemiec. On im poświęcał Pirenee.

Ztąd w dalszéj o pięknościach natury rozprawie, ja Włochy, on dodał Szwajcaryą. Co gorzéj, zaczęliśmy te kraje ogadywać. Francuz utrzymywał, że w szwajcarskich kaskadach wody nie ma; ja, że w Rzymie nadto wspomnień, że to bałamuci wyobraźnią.

Jednak, gdyśmy się tak nad nim z rycinami w ręku zachwycali, brzegi Renu nie były jeszcze wcale piękne. Niskie, piaszczyste i łyse, rzadko je kiedy jakie mieszka-

nie, albo chociażby wierzba zdobiły. — Gdy tak potrwało z godzinę, zapał zupełnie zaczął ustawać, po dwóch śladu jego nie było, a gdyśmy do Bonn dopływali, żaden się już z nas w koło siebie nie patrzył.

Wiele takim sposobem piękności straciłem; to między mną, Renem a Panem Bogiem.

Co tylko powiem, to, że gdyśmy do Koblentzu na noc zapłynęli, siedzieliśmy już obaj od godzin kilku w kajucie, ani myśląc o Renie, chwaląc: on Szwajcaryą, ja Włochy i przyrzekając sobie, że nie tylko sami tędy płynąć nie będziemy, ale znajomych od nich odstręczymy.

Wszakże, jakem później wracając na te okolice bez uprzedzenia patrzał, i mnie poetyczne wzgórz siedm zachwyciły. Klasztor Nonnenwerth na wyspie, a nad nim na przeciwnych dwóch brzegach zamki Ro-

landseck i Drachenfels, długo moje oczy zatrzymały.

Kiedy się wieść o klęsce pod Roncevaux i śmierci Rolanda rozeszła, narzeczona jego z żalu wstąpiła do tego klasztoru, co okrąża prąd rzeki. Sławny rycerz za późno z nieszczęśliwéj powróciwszy wyprawy, wystawił zamek na górze nad wyspą. Ztamtąd mógł widzieć co dzień, tę którą kochał, przechadzającą się w gronie zakonnic. Czasem mu się zdawało, że go lekki ukłon wita. Lecz ta postać ukochana zdawała się coraz wątlejsza, i raz pora przeszła a Roland jéj nie obaczył. Pod wieczór doleciały go dalekie smutne śpiewy, a na drugi dzień wyszedł z klasztoru żałobny pochód i trumna okryta kwiatami.

Odtąd sławny bohater, najpierwszy z rycerzy, stał ciągle nieruchomy z wlepionemi na cmętarz oczyma i tak go raz nieżywym znalazł wierny giermek. —

Koblentz.

Położenie miasta przy ujściu Mozeli do Renu, z wyniosłą twierdzą Ehrenbreitstein naprzeciwko, jest bardzo malownicze. I miasto samo jest piękne ale smutne. Mimo iż już do udzielnych arcybiskupów nie należy, wygląda jednak dotąd całe, jak jeden wielki klasztor. Domy wciśnione między zakony, zdają się w tych nieludnych ulicach wyjątkami i zapatrują się na surowe kształty klasztorów. —

Do tego to ponurego, martwego miasta schroniła się w końcu ostatniego wieku o-

wa świetna, lekka i wesoła szlachta francuzka. Chodząc po tych pustych ulicach, stawały mi w myśli piękne upudrowane markizy i lekcy *abbés*, co na czas jakiś tyle tu światowego blasku przynieśli, a których ze świetnych czasów błędne wyobrażenia, i co smutne do przyznania, nędza, w śmiesznych zmieniły. Część z nich wymarła, część wróciła do ojczyzny, a tu i owdzie ostatnich kilku zostało nad Renem.

Mnie samemu zdarzyło się jeszcze widzieć jednego z tych dobrowolnych wygnańców. Chociaż ich czas pochylił i włosy pobielił, nie czują jego przejścia. Ciągle żyją w przeszłych od pół wieku wyobrażeniach. Wszystko co od lat pięćdziesięciu zaszło, nie rachuje się u nich. Opowiadano mi o jednym, iż z przekonaniem głębokiém mówi:

„Służę od lat pięćdziesięciu mojéj ojczyźnie i memu królowi, poprawiając się, me-

mu królowi, mojéj ojczyźnie i w wojsku księcia Waldecka.“

Inny, zapalony myśliwy, zjeżdża pola wieśniaków, nie uznając praw teraźniejszych i na feodalnych się fundując. To też nieustannie ciężą na nim kary pieniężne, tém znaczniejsze, iż w kraju, gdzie mieszka, jest postanowienie, skazujące na zapłacenie wszystkich szkód w polu popełnionych a którychby winowajca nie był odkryty, ostatniego na uczynku złapanego. —

Na drugi dzień, nadreńska w Koblentz ulica, tak zazwyczaj spokojna, wielce była poruszona. Podczas pięknéj pory, kilka statków towarzystwa kolońskiego i kilka düsseldorfskiego, goniąc jedne za drugiemi, wydzierają sobie podróżnych. A tego dnia miał nowy statek düsseldorfskiego pierwszy raz przepłynąć, statek, który towarzystwo, chcąc fabrykanta zmusić do najstaranniejszéj roboty, nazwało jego nazwiskiem.

Akcyonaryusze, urzędnicy, stronnicy dwóch towarzystw, tworzyli silnie zarysowane dwie partye. —

Przy pomoście towarzystwa düsseldorfskiego, ubranym we flagi miast i krajów, przez które jego statki przepływają, stali jego stronnicy, dla których to był dzień jeden z najświetniejszych. Ich liczbę zwiększał jeszcze tłum bez przekonania, który jak zawsze i jak wszędzie szedł za nowością. W tym tłumie odznaczali się turyści, a ja między turystami. Z pogardą patrzeliśmy się na pomost towarzystwa kolońskiego, nieustrojony, i na którym kilku tylko stało jego stronników, co zawistnym okiem patrzali się na nasz tryumf. Nasz, bo chociaż nie wiem jakiém prawem, widocznie jednak obstawaliśmy za zwycięzcami. Za nami cztery armatki z zapalonemi lontami czekało na bohatera dnia tego.

Wielki okrzyk, co powstał w tłumie nieoswojonym z takiém silném wzruszeniem,

oznajmił mi, że kilka lepszych oczów postrzegło go z daleka. Zaraz armatki dały ognia na brzegu w parę sekund, potém statek im odpowiadał. Trwała taka rozmowa minut kilka, a echa gór porwawszy ją rozgadały po okolicy.

Lud był w zupełném zapale, i my podróżni patrzaliśmy się, jak na coś bardzo dziwnego. W tém za statkiem tryumfującym ukazał się drugi; był on kolońskiego towarzystwa. Nie mógł się znaleść nietrafniéj, to też zaledwie się przybliżył został wyśmiany i zakrzyczany. Dobywszy bilet z kieszeni, przekonałem się, że na niego wnijść mi wypada, co też uczyniłem z niemałym wstydem. Tą razą miałem płynąć najpiękniejszą częścią biegu Renu, to jest z Koblentzu do Moguncyi, i na moje szczęście, nie było mego wczorajszego towarzysza podróży.

Ren.

Wysadzony zwaliskami, dumnie Ren przepływa wśród miast wielkich, wśród niezrównanych kościołów i zdziwionemu, zachwyconemu podróżnemu, rzuca w wiekowym nieładzie imiona Cezara, Napoleona, Karola, Attili. I wśród tych wspomnień historycznych, co chwila legenda, ballada.

Ztąd to się rozeszły te niezliczone średnich wieków powieści, które trubadurowie roznosząc śpiewami, jakby zaszczepili po całym Zachodzie. Nieraz, zupełnie w innym kraju, można napotkać te same podania, które choć w rzeczy jedne, przechodząc wszakże z ust do ust, od jednego do dru-

giego błędnego poety, gromadząc po drodze miejscowe przesądy, coraz to inne przybierają barwy.

Każde zwalisko owiewa poezya jego legendy. Wszystkie te prawie tradycye odnoszą się do czasów wojen krzyżowych i tam ich zwyczajnie rozwiązanie. Tam szukając śmierci i długo sławę tylko znajdując, ginie nakoniec rycerz, otoczony trupami niewiernych. — A przechodzący brzegiem Renu trubadur śpiewa jego daleką sławę i wierność kochanki, która z żalu klasztor zakłada i tam życie kończy.

I nad temi feodalnemi klasztorami czas rękę przesunął. Nie wieńczą już gór ich białe mury przeglądające wśród drzew starych. Niekiedy tylko ostatni ich łuk gotycki pochyla się, oparty na schnący, ostatni dąb ogrodu. Za to kapliczka pustelnika trwa dotąd nie jedna. Samotna jak dawniéj i smutna, okazuje się z po za skały. I po

latach tylu słaby dzwon jéj wzywa jeszcze ranną porą wiernych na nabożeństwo. Tylko pustelników i świętych już nie ma. Co czynią w naszych nowych społeczeństwach te istoty oddzielnego dusznego potrzebujące bytu, które chcą przedewszystkiém o życiu zapomnieć? Czy piętno to ludzkie zaginęło? Nie, żyją one życiem Obermana albo kończą śmiercią Wertera, lub jeszcze szukając odosobnienia w niedostępnych dla ogółu surowych naukach. I tam, niespracowani mularze, każden z nich stawia swój kamień w ciągle się wznoszącym oświaty gmachu. —

Gdy zamków i klasztorów upadłych podróżny widzi przemijające się po obu stronach szczątki i wita smutnym uśmiechem ostatki złego lecz świetnego społeczeństwa; gdy patrzy się na te dzikie kamieniste gór wierzchołki, które już pewnie nigdy zamieszkałemi nie będą, których jedynymi mie-

szkańcami wywoływane w balladach duchy; cały zbiór tych starych powieści rozwija mu się w myśli. —

Tu w Laneck, przy ujściu Lany do Renu, wśród wież licznych zamku, wznosi się jedna wznioślejsza. Był to zamek Templaryuszów, a na téj ostaniéj wieży zginął po zaciętéj obronie ostatni rycerz w czasie wytępienia zakonu.

Tu wśród drzew, nad wodą, klasztor Marienburg stoi, na miejscu gdzie opuszczona młoda dziewczyna przebrana po męzku z przyłbicą spuszczoną, padła przebita mieczem swego kochanka, z którego ręki zginąć chciała. Nim w rozpaczy i żalu poległ w Palestynie rycerz, na tém miejscu klasztor założył i od jéj go nazwał imienia.

Tu na dwóch dzikich szczytach leżą koło siebie, zwane Braćmi, dwie ruiny. Jak mówi legenda, smutnie patrzą w głąb doliny. Prawda, nic smutniejszego jak te sza-

re odłomy zwalisk na kamienistych górach, gdzie ledwie z rzadka rośnie trawa, i które odbija w dole zielona woda rzeki. Tragiczne podania tych dwóch zamków i podobne a jeszcze smutniejsze sąsiedniego im Bornhowen, podały treść wielu dramatycznym autorom do oddania nienawiści dwóch braci.

Tu skały Surleju i ich podania o nimfach i oczarowanych rycerzach.

Tu znowu z ponad wody wyłazi siedm kamieni, Ren wre i kipi koło nich: to siedm dziewic skamieniałych. Nad niemi zamek ich dawny. —

Tu zamek Katz (kot), bo jak kot na mysz długo czyhał na sąsiedni zamek.

Tu Pfaltz tak dziwnie romantyczny, zdaje się wśród Renu jak rozbity na skale okręt. Im więcéj się do Cingen zbliża, zamki, skały i złamy rzeki tak się nagromadzają, że nie można wszystkiemu wystar-

czyć. Ci co stoją na prawéj stronie biegną na lewo; tych co na lewéj, jakiś znajomy co prędzéj na prawo wzywa. —

To téż wtenczas nieład na pokładzie panuje największy.

Nie można się nacieszyć temi widokami, chociaż na pierwszy rzut oka tak nieraz są podobne, iż można sobie wyobrazić, że statek się zawrócił i znowu temiż samemi miejscami przepływa. Istotnie, dla powieścio-pisarza, coby chciał, nie będąc w téj stronie miejscową barwę zachować, część ta biegu rzeki bardzo jest ładną do oddania.

Dokoła wzgórza, na których szczytach widać czasem zamczysk kilka do razu. Gór wierzchołki kamieniste, jałowe, okryte gruzami, niżéj pyszne winnice krzewią się między kamieniami. Na samym dole miasteczka ubogie, drewniane, piękniejsze na malowidle niż w naturze, otoczone grubemi murami i wieżami szaremi. Obronne niby, cho-

ciaż to je nigdy od zdobycia nie chroniło. Wszystko to są małe porty na rzece. Lecz pod czas pięknéj pory, ruch statków innych jak parowe, jest bardzo mały; przechodząc one wówczas nieustannie, cały ruch rzeki opanowywają. Dla tego piękniejszy jest Ren do widzenia w jesieni, gdy się mnóstwo statków różnéj wielkości zdybuje, gdy się przemijają te ogromne tratwy, na których stoi chat kilka. A wtenczas widzi się cały ruch miejscowy, gdy tymczasem w lecie sami tylko turyści. Prawda za to, że pokład przyjemniejszy, można zawsze rachować, że się będzie miało w towarzystwie kilka ładnych osób, co bardzo do ocenienia piękności natury pomaga. —

Od Bingen widok się od razu zupełnie zmienia. Ren nim wpłynie w wysoki wąwóz, którym przeciw wodzie z ośm godzineśmy płynęli, zatrzymuje się tu kręcąc koło miejsca i szeroko brzegi zalewa. To

też, wypływającemu z tych gór między któremi tak rwie i pędzi, tu gładka, szeroka rzeka zdaje się spokojném jeziorem. Góry z obu stron już tylko dalekie, brzegi pochyłe, mnóstwo wsi z ostremi wieżami swoich kościołków, wszędzie wyspy okryte drzewami. Kraj to bardzo miły, wesoły, chociaż nie tak piękny; ale też potrzeba wypocznienia po kilkogodzinném rozglądaniu się na prawo i na lewo. Ruszające się towarzystwo pozajmowało znowu ławki, leniwe ręce opuściły lunety. Pochyleni nad wodą, w tym spokoju płynęliśmy, co się pod zmrok doświadcza na wsi w przejazdce po stawie. Słońce nad zachodem wyzłacało cały obszar wody; po jéj równéj płaszczyznie przebiegał odgłos wieczornych dzwonów. Kąpiące się gałęzie łóz i płaczących wierzb po wyspach, wstrząsała wzruszona pędem statku fala.

Czasem nad brzegiem wody zwracały się orzące pługi, czasem się rybołówki i dzikie kaczki zrywały.

W téj to okolicy, blisko wsi Ingelheim, wznosił się pyszny pałac Karola Wielkiego. Z ogromnego gmachu największego na zachodzie władcy, nie zostało się nawet dosyć do ściągnienia tych chciwych wrażeń podróżnych, co tędy co rok przepływają. Lecz imie jego pozostało jedno z niewielu znanych w podaniach całéj rzeki i co niezdołały zatrzeć ani tyle sław mniejszych, co tędy się wznosiły i upadały, ani wieków kilkanaście.

Niech co chcą mówią, dla mnie Karol Wielki będzie miał zawsze nad Napoleonem jedną wyższość, to, że mu za wzór służył. —

Napoleon odbudował tylko państwo Karola. —

Nie jestem z podróżnych, co szukają ciągle znajomości, awantur, śmieją się z wyszukanych z trudnością u innych śmieszności i myślą się ciągle w pierwszym tomie romansu, którego są bohaterami. Dla tego siedziałem moim zwyczajem, osobno między książkami i rycinami, które, co w nawiasie, jeszcze mnie raz przekonały, że owe na pamiątkę kupowane ryciny nic nigdy nie przypominają. Lecz gdy te nadto nagromadzone piękności natury minęły, ciekawiéj zacząłem się patrzeć na podróżnych, a tém bardziéj na podróżne.

Jedna zwłaszcza była bardzo ładna. Nie mógłem zgadnąć jakiego narodu. Rysy cienkie, delikatne jak u Angielek, coś w ruchach giętkiego i lekkiego jak u Francuzek. Czy Angielka we Francyi wychowana, czy może Polka. Byłem w zupełnéj niepewności, gdy ukazał się na przeciw nam płynący parowy statek. Cały przód jego

przepełniony był ludźmi i pakami; między odwiecznemi kuframi przezierały różnych cieni niebieskich stroje (farba ta ulubiona nad Renem). Byli to koloniści płynący do Ameryki.

Z tego kraju tak bogatego, okrytego winnicami dającemi najdroższe wina, jak Johannisberg, Rudesheim itd., gdzie nawet rękodzieła nie nagromadziły zbytecznéj ludności, wypływa jednak co lato niezliczona liczba kolonistów.

Gdy statek ich mijał się z naszym, obaczyłem moją śliczną nieznajomą machającą chustką i prowadzącą za niemi rozrzewnionym wzrokiem. —

Była to więc Amerykanka. A ja także z wielkiém zajęciem prowadziłem za nimi oczyma. Za wspaniałym Renem, stawał mi ocean w myśli, a daléj nieznane inne kraje. Ze staréj Europy świat nowy i nowe społeczeństwo, a daléj jeszcze jak w głębi o-

brazu, wśród palm i aloesów smutne twarze niknących Indyan.

Uważano, że większa część kolonistów składa się z dobrze się mających wieśniaków. Gdy upodobanie wynoszenia się napadnie jaką okolicę, trudno go wstrzymać. W piérwszém po odkryciu Ameryki stóleciu, najżyźniejsze strony Hiszpanii wyludniały się tym sposobem i to jest jednym z głównych powodów upadku tego kraju. —

Dzisiaj podobna namiętność w nadreńskich się krajach widzieć daje. Nieraz znaczna część wsi razem się wynosi. Jest pewna pora roku, gdzie się owych kolonistów na wszystkich drogach dążących do Renu zdybuje.

Nieraz zdarzało mi się być świadkiem ich odpłynienia. Gdy ładowny wóz zatrzymał się przy pomoście, odprowadzająca rodzina pomagała znoszeniu na most ogromnych kufrów. Często tak się to spokoj-

nie odbywało, jak gdyby chodziło tylko o kilkodniowe rozdzielenie. Gdy wszystkie paki zostały wyładowane, mężczyzni szli wolno do bliskiéj karczmy napić się na rozjezdném, kobiety spokojnie rozmawiały kończąc porządkowanie. Ta obojętność zrobiła na mnie jeszcze przykrzejsze od rozpaczy wrażenie.

Wolałem płacz od tego zimnego ściśnienia ręki i kiwnienia głową. Tu przykro dla tych co się rozstają, a tu smutno dla całéj ludzkości.

Widziałem jednak raz tak bolesne rozłączenie się, iż chociaż lubię patrzeć na rzeczy wzruszające, uciekłem na samym jéj początku do kajuty. —

Rozstanie się na zawsze jest to śmierć, tylko warunkowa.

Worms.

Wracając jesienią wzdłuż Renu, chciało mi się stare miasto Worms obaczyć. — Gdym kapitanowi okrętu powiedział, że mam zamiar zatrzymywać się tam, zaczął mi odradzać, mówiąc: iż statki tego towarzystwa, tak późną porą roku, raz tylko na dzień przepływają, że będę więc musiał dwadzieścia cztery godzin czekać. Nie ostrzeżony miną pełną politowania, — z jaką mnie ostrzegał, utrzymałem się w moim zamiarze. Późniéj dopiero zrozumiałem to politowanie. Worms uchodzi za mia-

sto najsmutniejsze nad Renem. Potrzebując owszem rozweselenia nie mogłem gorzéj trafić.

Poważny kościół na wzgórzu, otoczony osypującemi się wałami ukazał się z załamu rzeki. Reszty miasta nie było widać, bo go zakrywały po polu porozrzucane drzewa. Przy przystani parę domków, mała oberża dla flisaków i fiakr stał jeden. Zdziwiony, że nie widzę, jak wszędzie nawet po małych miasteczkach omnibusów, zapytałem o nie. Odpowiedziano mi że fiakr ów za omnibus razem służy i pokazuje się że wystarcza, gdyż nikt go zemną nie dzielił. Mój jednokonny powóz wjechał w długą topolową ulicę prowadzącą do miasta, teraz leżącego o ćwierć mili, choć dawniéj dotykającego do rzeki.

Będąc właśnie w napadzie czarnego humoru i wiedząc jakie na mnie wtenczas okropne wrażenie czyni widok miejsc opu-

szczonych, zacząłem żałować, że statek opuściłem. Wiatr jesienny strącał ostatnie liście drzew, a po usłanéj tak drodze cicho się powóz toczył.

Gdym w miasto wjechał, na drzwiach i w oknach pokazywały się z rzadka dzieci, ciekawe kogo ów fiakr jedyny przywozi i na ich twarzach widać było to osłupienie, co tak często się maluje na twarzach wieśniaków naszego kraju, w miejscach dalekich od wielkiéj drogi, gdy zbłądzony z traktu powóz się między niemi zatrzyma. To dało mi do myślenia, że ów powóz częściéj próżny od Renu powraca. Pokazało się, żem słusznie zgadywał. Chociaż Worms wśród najwięcéj zwiedzanych leży okolic, chociaż Ren, ten wielki gościniec turystów, tuż koło miasta przepływa, nigdy prawie jednak podróżnego tu nie widać. Tego roku nawet Anglików dwóch tylko było. W pustyniach środkowéj Afryki, więcéj by ich

można napotkać. Nie należy przypisywać tego braku podróżnych chęci uniknienia smutnego widoku upadłego miasta. Nie, między podróżnemi najróżniejsze znachodzą się gusta. Chcących się smucić lub wzruszać, może jeszcze więcéj od szukających zabaw. Czemu dotąd to miasto mijają? Dla tego, iż guide de voyageur nie zaleca im zwiedzenie jego, a podróżni ogólnie są niewolnikami guida.

Zwyczajny podróżny prędzéj pojedzie mil kilkadziesiąt naznaczoną mu drogą, niż o ćwierć tylko zboczy, gdy tego miejsca nie znajdzie w swéj książce. Taki jak ja, co opuszczone zwiedza miejsca, uważanym jest od innych za człowieka obdarzonego nadzwyczajném męztwem i nieprzełamaną wytrwałością. Jest to, jakby Krzysztof Kolumb — mniéj Ameryką. W Szwajcaryi, Włoszech, czy nad Renem wszędzie droga turystów jest wyznaczona. Ebla w Szwajca-

ryi, Artaryi we Włoszech władza jest nieograniczona. Jeżeli to ślepe naśladownictwo tłomaczyć się jeszcze daje nad Renem, nie można je dość naganiać w kraju takim jak w Szwajcaryi. Znaném jest, iż sławna dolina Chamonni tak blisko Genewy leżąca, dopiero roku 1741. odkrytą została. Wieleż to jeszcze w Swajcaryi nieznanych istnieje piękności, gdy się wszyscy po téj saméj drodze kręcą. Co jeszcze krążących po Europie turystów maluje to, że w Szwajcaryi naprzykład przyjęli sobie za wejście Genewę i Bazyleę, za wyjście Szafuzę i Semplon. Zaproponowaćże turyście, co z Niemiec jedzie, by od Szafuzy zaczął, albo temu, którego włoskie przysyłają upały, by wjechał przez Symplon, zrobi mu to wrażenie, jak gdybyś przyobiedzie proponował zaczynać od desseru, a kończyć na zupie. Nad Renem znowu szukają wód mineralnych i zielonego stolika. Czego jednak najwięcéj

w podróży będą zawsze szukać ludzie, to ludzi. To, że się już w jakiém miejscu zebrało sto osób, przyciąga ich dwieście drugich. Otóż turysta z trudnością w Worms turystę napotka, i dla tych to przyczyn byłem tego roku trzecim i podobno ostatnim tutaj podróżnym.

Widziałem dużo miast upadłych, lecz mało smutniejszych widziałem. Miasto królów, cesarzów, zjazdów, turniejów, nawet czarów i cudów śpiewane przez Nibelungi, jakże zmienione. Zawsze szukałem miast upadłych; jakiś wdzięk dziwny ciągnie mnie do nich. Lubię się zastanawiać nad różnymi ich stopniami. Tu ruch ledwie słabiejący ustępuje z przedmieść i garnie się jeszcze do środka. Jeszcze niedoświadczonemu oku zdaje się całym blaskiem wzrostu lub kwitnienia. Tam już się rysują po murach szczeliny, po nieludnych końcach miasta ukazują się domy bez drzwi

i okien i z po za kamiennych odźwierków między trawą i krzewami wyłazi spokojna głowa pasącéj się krowy.

Tam znowu, gdzie sto dzwonów wstrząsało powietrze, kilka już tylko odpowiada sobie wśród wieczornéj ciszy. I ptak drapieżny, chociaż jeszcze zdziwiony, krążyć już śmie nad miastem.

Worms nie jest tylko w stanie upadku; można powiedzieć, że się zupełnie rozkłada i jeżeli żadne nie nastąpią zmiany, zapewne powoli zniknie nie zostawiając i śladu.

Gdy miasto jakie pod zdobywcy ręką od razu swe zbiorowe życie kończy, długo jeszcze jego białe zczerniałe mury ściągają podróżnego. Lecz kiedy z nieznanych powodów, jakby długą wolną ginie chorobą, wtedy ciągle niszczejąc, nawet gruzów nie zostawuje.

Z pałacu ledwie wystarczy materyału na małą kamienicę; z téj na chatę lub mur ogrodowy. Tak i w Worms. Patrzę na napis, plac Syxtusa oznaczający, a placu już niema; kilka murów się pokrzyżowało, środkiem bujne winnice. Tam w jednéj ulicy kamienic już mało, same mury ogrodów, a ulica zwie się jeszcze olbrzymią i przenosi nas w bajeczne Nibelungów czasy.

Przy środku miasta zachowało się jeszcze dobrze parę ulic. W nich domy stare, nieregularne, z zakraconemi oknami, z bramą niską w ziemię włażącą z ostrożném okienkiem u wnijścia. Jeszcze w niém brzęczą gotyckie, w ołów oprawne szybki. Patrząc na te stare ulice zdaje się zawsze, że się w głębi ukaże w ciężkiéj zbroi rycerz na koniu, lub krzyżownik z dużym znakiem na płaszczu. Przedzielić z nich którą kortyną, i przenieść ją przy wstępnéj

muzyce a nie możnaby znaleść lepszéj dekoracyi do średniowiecznego dramatu. —

Jednak to miasto zajmujące, które, w towarzystwie licznem i wesołém zwiedzane, możeby nie zrobiło przykrego wrażenia. Chociaż je można lepiéj zrozumieć i jakby uczuć, samemu zwiedzając, nieprzyjemne jednak w tenczas czyni wrażenie. I trzebaby mieć nie mały zasób wesołości, żeby się na humorze niepoznaczyło. Jak to blade jesienne słońce ziembiło ciało, tak te ciemne smutne ulice, ziembiły duszę i na umysł działały. Po dwóch godzinach niemogłem już wytrzymać. Nie dla mnie Kraków, Wenecya, chociaż mnie coś do nich ciągnie; nie dla mnie te miasta. Lecz tamtym dwom miastom nie zabraknie wspomnień. Choć braknie blasku, nie zabraknie sławy. I wieszczów zawsze ściągać będą. Kraków pokaże swoje mogiły, a Wenecya, choć dzisiaj nie tak jaśniejąca, dwoi się je-

szcze w swém morzu. Lecz tu i wspomnień zabraknie i tylko ręka uczonego przezierając karty dziejów średnich wieków, odnajdzie byłe miasto.

Chciało mi się co prędzéj uciec z pomiędzy tych ulic ciemnych, oddychających jakąś grobową wilgocią, gdzie się prawie nie zdybuje ludzi. Czasem się tylko spotyka starą kobietę z książką do nabożeństwa, albo zgiętego starca idącego się nacieszyć przy szerokich kościelnych placach ostatniemi promieńmi jesiennego słońca. Patrząc się na tych starców, co jeszcze dzwon głuchy lub zemdlone słońce z odwiecznych domów wywoływuje, zdaje się, jakby tu młodego pokolenia brakło, i tylko dawne dogorywało. Rzekłbyś, że to zapomnieni innych wieków ludzie. —

Przebiegając ulice, chcąc się na wolne dostać powietrze, doszedłem do dawnych wałów otaczających miasto. Osuszona fosa

której brzegi wysadzane drzewami, służy dziś za przechadzkę. Z pod schylających się nad głową świerków i lip, przechodzi się pod sklepienia mostów kamiennych. Smutna ta, smutnego miasta, przechadzka, jeszcze mnie bardziéj w zły humor wprawiła i wyszedłem zupełnie za nie, chcąc się do rzeki dostać. Lecz tu mnie czekała inna nieprzyjemność; na wszystkie strony mury winnic krzyżujące się, tworzyły ulice i jakby całe miasto winogradowe.

Nikogo do rozpytania się o drogę. Zacząłem błądzić wśród tego labiryntu. Po dwóch stronach w murach bramy przezroczyste i przez nie widać długie szeregi winnych latorośli. Słońce się już schylało, a końca ogrodów dojść nie mogłem, wreszcie zdało mi się, że widzę przezierające pole przez otwarte na przeciw siebie dwie bramy. Wchodzę i zastaję nowo założony cmętarz, parę grobów świeżo przykrytych,

nowo posadzoną płaczącą wierzbę. W miastach upadłych, mieszkań zawsze za dużo, lecz nigdy dosyć cmętarzy. Było późno, musiałem myśleć o powrocie. —

Na progach domów i w oknach pokazywały się młode dziewczyny. Blade i smutne z dużemi czarnemi oczyma, prowadziły tęsknym wzrokiem za słońcem, co mijając ciemne ulice krwawém światłem czerwienił wieże i gzymsy odwiecznéj katedry. Późniéj ze zdziwieniem obracały oczy na tego szczególnego podróżnego, co zwiedzał ich opuszczone miasto. —

W wieczór siedziałem w wysokim pokoju oberży, przy pierwszy raz rozpalonym ogniu téj jesieni. —

Odwieczny komin wzbraniał się długo mnie ogrzewać i odpędzał kłębami dymu, późniéj oswoił się widać z cudzoziemca postacią i pomógł mi przepędzić ów wieczór. —

Heidelberg.

Niemcy mają dużo ładnych miasteczek; Heidelberg jednak bez wątpienia za jedno z najpiękniejszych uważać można. Między dwoma pasmami licznych gór przepływa Neckar, rwiąc i kipiąc po kamieniach. — Wązka dolina, którą płynie, zdaje się tu jeszcze zwężać, jakby zastępując mu drogę, nim wyjdzie na równiny. Raz jeszcze góry się zbliżają, później od razu rozstępują, wpuszczając rzekę na gładkie nadreńskie błonia. W tém miejscu leży Heidelberg. Neckar kręcąc się jakby wyjścia szukał,

przybliża się do jednéj strony, zostawując po drugiéj, opartą o spadziste góry, wązką dolinkę. Tam skupiło się i wymurowało miasto. Sławne zwaliska zamku zawieszone są nad niém.

Długa ulica, równoległa do gór z jednéj, do wody z drugiéj strony, przechodząc kilka placów, wzdłuż miasto przecina. Jest ona główną, można powiedzieć jedyną; to téż wystarczyło na nią Heidelbergowi pięknych kamienic i sklepów.

Charakter jéj ruchu, jest jedynym w swoim rodzaju. Składa się z uczniów uniwersytetu, z długiemi włosami, grubemi pałkami, z czapeczkami na głowie czerwonemi, zielonemi, żółtemi lub białemi. Z młodych dziewcząt, które jak we wszystkich miastach uniwersyteckich natura ślicznemi utworzyła; dla czego? niewiem; może dla rozwijania w młodych ludziach zdatności poetycznych.

Pod wieczór migocą po ulicy niezliczone różnobarwne studentów czapeczki. Korzystając z cieniu, przechadzają się bez kapeluszów młode dziewczyny, za niemi prowadzi długo zachwycony wzrok studenta. — Lecz gdy tak odprowadza oczyma lekką, cienką postać, zdybuje starego profesora, opartego na lasce, który z zdziwieniem widzi czuły wyraz twarzy swego ucznia anatomii lub matematyki.

Oprócz uczniów, profesorów i dziewcząt Heidelberga, widać jeszcze mnóstwo turystów różnych narodów, co z książkami w ręku dążą do sławnego zamku. Słysząc że te zwaliska zyskują jeszcze przy świetle księżyca, nocą się do nich udałem.

Była to piękna noc letnia i po przemijającym deszczu, miała świeżość wiosenną. Nikogo już prawie nie zdybywałem; niekiedy tylko dawał się jeszcze słyszeć daleki chór burszów. Ogrody zamkowe były już

całkiem puste, gdy przeszedłszy wspaniałą wchodową bramę, znalazłem się wśród ich drzew wiekowych.

Błędne ogniki lśniły pod ciemnemi sklepieniami. To lotem dziwacznym, nierównym przebiegały długie ulice, to znowu zapalały się i gasły w liściach. Te światła ukazujące się i znikające w powietrzu, wszędzie, zwłaszcza w kraju dziwnych podań i marzeń mglistych, czynią jakieś dziwne wrażenie.

Ich upodobanie w cmentarzach oddawna upowszechniły mniemanie, iż to są dusze zaklęte. Jak w balladzie Leonory, obrałem sobie jednego za przewodnika i zapuściłem się w gęstwinę. W krótce doszedł mnie szum wody sączącéj się po kamieniach. Był to strumień co zbiegał z góry, spadając po ciosowym murze obwodu. Tu razem o kroków kilkadziesiąt ukazały mi się baszty i głębokie fosy.

Jest to bez wątpienia najpiękniejsza na północy ruina.

Jak prawie we wszystkich feodalnych mieszkaniach, są to z różnych wieków różne części co zamek składają. Trudno sobie wyobrazić wspaniałość tych opuszczonych dziedzińców, wież, kaplic, pałaców. — Pałaców, bo ośm ich złączonych w jedno, wzmocnionych basztami i wieżami, tworzą ten przepyszny zamek. — Jak się te wszystkie style w istniejącym zamku godziły? Niewiem. Lecz dziś zniszczenie ściśle je złączyło i w jedną wielką całość zlało. Od ponuréj wojennéj wieży, ciemnych sklepień średnich wieków, od ozdobnych frontów odrodzenia, od gotyckich łuków, filarów, do lekkich, wesołych, włoskich linii, wszystkie, wszystkie style złączone, otaczają dziedzińce do koła. Środkiem wysoko trawa i krzewy.

W kamiennych framugach kamienne postacie, w koronach, z berłami w kasku, zbrojach z orężami; i nawet wielcy mężowie starodawni w laurach, togach i sandałach; i nawet dawni bogowie. Wszystkie te różnych wieków wielkości, oświeca księżyc, przesuwając się wolno nad pałacowymi gzymsami. Cztery kolumny przy zamkowéj studni, to owe kolumny darowane przez papieża Karolowi Wielkiemu i które ze zwalisk Ingelheima tu przeniesione, czekają, by czyja ręka znowu je daléj przeniosła.

Każda część zamku zachowała dotąd nazwę swego założyciela; to pałac Ottona, Henryka; to znowu Fryderyka czwartego, Fryderyka spokojnego swych nadreńskich hrabiów wojewodów. Jeden z tych pałaców zwany Angielski, bo go wystawił Fryderyk Piąty dla żony swéj Elżbiety Stuartównéj, wnuki Maryi a siostry Karola

Pierwszego. Jéj to syn, ów Rupert wojewoda reński, co taką ważną rolę odegrał w rewolucyi angielskiéj.

Jedną z piękności zamku, jest ten wielki z ciosowego kamienia krużganek, co wisi nad przepaścią; z tamtąd widok na spieniony bieg rzeki, na miasto, góry i na nadreńskie równiny.

Oparty o te pyszne kamienne poręcze, na które drapią się ze dna przepaści krzewy i powoje, stałem długo wodząc oczyma, to na gmach spokojny, to na spokojną w głębi dolinę. Już szum wody przenosił słabiejący zgiełk miasta, a tutaj wkoło taka głęboka cisza, iż słychać było szelest piór zbudzonego ptaka i łoskot odrywającego się kamyka.

Część ta zamku tak dobrze zachowana; kamienne łuki, odźwierki, sklepienia, taką wspaniałą całość tworzą, że możnaby myśleć, iż gmach tylko uśpiony; że snu ręka,

a nie ręka czasu, uciszyła wrzawę, śpiewy i dźwięk muzyki; że się wśród drzew odezwie głos stłumiony, wesoła zwrotka że doleci od strony załogi. Patrzałem zamyślony, wtém księżyc wpadając w mury bez dachu, rozjaśnił opuszczoną salę, zabłysnął przez okna i rozpromieniając się daleko odbił na dole o wieże kościołów; — jakby mnie chciał wywieść ze złudzenia i wskazać, że ci, co tu dawniéj żyli, zmienili mieszkania: z marmurowych pałaców na marmurowe grobowce. — Nie ma w świecie tyle spokoju, co w zniszczeniu lub śmierci.

Na drugi dzień wróciłem, żeby dokładniéj zamek zwiedzić. Tą razą pokazano mi wszystkie szczególności, co tu podróżni oglądać lubią. Siadłem na wierzchu owéj niezrównanéj wielkości beczki, i dostałem w nos liściem, ogonem téj zdradliwéj zabawki nadwornego błazna, którego żart

wszystko tu przetrwał. Przypatrzyłem się téj wieży, wysadzonéj przez Francuzów za czasów Ludwika czternastego, a która tak silnie była zmurowana, iż upadła wprawdzie, ale cała, i gdyby jaka machina podnieść ją zdołała, w wyprostowanéj możnaby znowu mieszkać. Przebiegłem kute w skałach stajnie i więzienia, które dziś jak ogromne jaskinie wyglądają. A dopełniwszy wszystkich tych obowiązków podróżnego, wróciłem znowu na ów niezrównany krużganek, który przy zachodzie słońca dziwnéj nabierał wspaniałości. Wtedy dopiero zrozumiałem, dla czego wielki książe badeński nie odnowił zamku; czuje się za małym dla niego. I lepiéj. Dzisiaj podróżni i artyści czerpią z niego do woli widoków piękności i poezyi. Z pośród trawy dziedzińca wyłazi pulpit malarza. O kamienne poręcze krużganka opiera się podróżnego luneta. Chóry burszów z wszy-

stkich stron uszów dolatują. Wszędzie migają jasne czapeczki.

Tak każdy marzy o jakiejś upadłéj wielkości. A wtedy byłoby to, jak te zamki nad Renem na nowo mieszkalne, które straciły wdzięk swój cały.

Dwór heidelbergski był bardzo świetny, jak świadczą jeszcze zwaliska, (tutaj najpierwiéj założone zostały szklarnie i cieplarnie, i na ich to wzór Ludwik czternasty miał w Wersalu swoje założyć kazać,) i bardzo wesoły, jak po dziś dzień świadczy owa sławna beczka. Rywalizacya panujących wojewodów w budowaniu onych znaną jest wszędzie. Nabyta przez poprzednika sława z wybudowania wielkiéj beczki nie dawała spać następcy. Wstępując na tron, budował swoję. A do jakiego stopnia w tym względzie ambicya téj rasy była obudzoną, świadczy ostatnia, dotąd istniejąca. —

Dałby się w nią wlać nie jeden stawek polski, sławny z wielkości w całéj okolicy. — Mieli racyą zresztą temu rodzajowi budownictwa się oddawać. Kościoł Ś. Piotra jak wielki, a jednak tylko o stopy walczy o pierwszeństwo z katedrą Mitańską albo świętym Pawłem Londyńskim. Do beczki zaś heidelbgerskiéj żadna się na świecie beczka przyrównać nie zdoła. — Przytém kościół pobożnymi napełnić nie łatwo; beczkę wypróżnić, chociażby heidelbergską, nie znajdzie się wielkiéj trudności.

W tym to téż pysznym, romantycznym zamku urodziła się księżna Orleańska, znana w historyi francuzkiéj z tego, iż nadto lubiła kwaśną kapustę, a potém leczyła się proszkiem z mumii egipskich.

Tradycyi romantycznéj za to, ani książki, ani pamięć żadnéj mi nie przywiodły.

Czarny las.

Utrzymują, że z podróży najprzyjemniejszy jest powrót. Mówią to ludzie na pozór trafni, lecz którzy nigdy długo w drodze nie byli, ci, którym dom i miejscowe związki tak jeszcze żywo w sercu albo pamięci stoją, jak to bywa w pierwszych kilku miesiącach po wyjeździe. Kto wtedy wraca, łatwo się na zdanie ich zgodzi. Ale kto długo w podróży zostaje, temu odległość miejsc, więcéj jeszcze odległość czasu ściera przywiązanie. Nie można powiedzieć, że się zapomina, bo wróciwszy czuje się zupełnie jak pierwéj, lecz

w ciągłém oddaleniu traci się nawyknienie, które w każdém prawie uczuciu wielkie miejsce trzyma. Wtedy to dopiero podróż prawdziwie jest miłą. Czuje się dziwną przyjemność w pięknéj, nieznanéj okolicy, gdy serce się ciągle na przeszłość nie obziera. —

Tak ja kiedyś błądziłem po nieznanéj mi stronie Szwarcwaldu. Wyszedłem z Baden drożyną, gdzie nie widać cudzoziemców. Chłop w granatowym spencerze, chłopka w niebieskiéj sukni i pończochach, niosący na głowach kosze z owocami: to jedyni przechodnie. Podobał mi się bardzo ten ruch wiejski, od którego już tak dawno byłem odzwyczajonym. Tubym mógł się myśleć o mil wiele od Badenu, owego zbiegowiska całéj Europy. Lecz nie, to tylko moda nie przyjęła téj drogi; na lewo i na prawo o kilka set kroków musiały się snuć roje amazonek i jeźdźców. Tą razą moda

miała trochę racyi. Droga to widać bardzo stara, bo koleje wozów i ulewy tak ją wyżłobiły, że idzie się jakby dnem rowu, co dla kogoś, co szuka widoków, nie jest bardzo przyjemném. Gdym tak uszedł z kwadrans, widząc tylko brzegi drogi i wiszące nad nią krzaki głogu, zacząłem się niecierpliwić; ale że ślisko było po deszczu, wyjść z tego przejścia nie mógłem i iść niém drugi kwadrans musiałem. Tom jednak na tém zyskał, że gdym się z niego wydobył, widok się od razu zupełnie zmienił.

Nowe pokazały się wzgórza, wszystkie lasem okryte. Co w tych górach lubię, to, że nie układają się w długie pasma. Zwyczajnie w wielkim rozrzucone nieładzie. Ten gór nieporządek czyni, że się ma zawsze na jakiś wzgórek wyleść albo zejść z niego. Lecz za to zawsze nowy widok. W wielkich górach, których zgięcie każde am ćwierć mili, gdzie ciągłe proste doliny,

duża rzeka, albo szeroki potok na dnie, a nad jego brzegami łączące się bez końca mieszkania; są pyszne wprawdzie, lecz jednostajne. Można, idąc godzin parę, toż samo mieć przed oczyma. Tutaj coraz inne wzgórza. Na dnie małych dolin, co tworzą gór złomy, bieleje zwyczajnie kilka zbliżonych domków murowanych i czystych, co zaletą niemałą, gdyż nie raz nędza tu wielka panuje. Chaty niskie, często bez piętra, kryją się w części wśród starych sadów, co je otaczają.

Te grona mieszkań w dołach tworzą wioseczki, zależne duszą i ciałem od większych wiosek i miasteczek, leżących na dnie rzadszych znacznie dolin. W mniejszym jeszcze załomie odosobniona chata. Czasem na dnie błyszczy wązka rzeczka, czasem tylko zieleńsza trawa bagien. Ale za to tych małych dolin widać z każdéj góry kilka od razu. Na wszystkie strony

różno-kształtne wzgórza, zawsze porosłe lasami, gdzie, kiedym je zwiedzał, od kolczastych drzew czarnych jesień odbijała rożne cienia i farby.

Widoki te są prawdziwie malownicze i czekają swego Salwatora Rozę, coby je wsławił, jak tamten drogę z Pizy do Florencyi.

Długo kręcąc się po tych załomach wyszedłem wreszcie na gościniec, prowadzący do Fromersberga. Co to za piękny widok, i jaki samotny! Tylko dwie ładne amazonki z dwoma młodymi jeźdzcami przejechały mi drogę. Z przodu jadąca pół głośnie śpiewała francuzką piosenkę. Druga, wolno cugle puściwszy, trzymała bukiet polnych kwiatów i więdnące na drogę rzucała, a wzrok jéj towarzysza zdawał się z wyrzutem za każdym kwiatem prowadzić.

Czy wszystkie tak na drogę rzuciła? —

I przejechały. . . . Znowu nikogo! —

Szedłem daléj. Droga miała dziwne wdzięki, kręcąc się wśród drzew różnobarwnych i na każdym zwrocie odkrywając nowe obrazy, jak w wyrachowanym ogrodowym przestrzale.

Znowu dwóch studentów, siedzących nad drogą; przy nich mantelzaki na trawie. W oczach zapał młodości, w ręku kawałek chleba. Marzą o rycerskiéj przeszłości, a będą adwokatami albo doktorami.

Późniéj las się urywa i na dnie nowéj doliny, którędy idzie bity gościniec, widać mostek kamienny i chaty, za niemi dalsze leśne wzgórza, a w saméj głębi, na ostrym szczycie, wieżę Ybourga. Szukałem ją od dawna oczyma, wiedząc, że jest gdzieś w téj stronie, ale długo rozróżnić niemógłem wśród ciemnych drzew, co ją otaczały, zwłaszcza że zmrok już zapadał.

Ta ponura wieża, dumna jeszcze w zwalisku, oddzielona od spodu góry mgłą bia-

łą, wyglądała wśród ściemniającego się wieczora, jakby wyspa nadpowietrzna. Samotność okolicy, dalekie wiejskie dźwięki, wszystko to razem zdało mi się budzić wyobraźnię, uśpioną wśród ludzi. To też patrząc na te ścierające się w zmroku obrazy, zacząłem w myśli tworzyć jeden z tych niezliczonych, pierwszych rozdziałów, których tak wiele napisałem. A niestety, dla mnie przynajmniéj, następnych tak mało!

Wróciwszy do Baden, cieszyłem się jeszcze godzin kilka tém wzruszeniem, co mnie odżywiło. Tak się często boję, żeby mi się natura nie stała równie obojętną, jak już są ludzie. —

Dla tego z wdzięcznością myślałem o tym dalekim widoku, i przez dni kilka stały mi te smutne zwaliska w pamięci. —

Po jakimś czasie wybrałem się do Y-bourga.

Idąc tą samą drogą, doszedłem do miejsca, skądem się był pierwéj zwrócił.

Tutaj od drogi oddziela się ścieszka, do zamku prowadząca. Zapuściłem się w las. Nad głową sklepiały się stare konary, a gęste liście nie przepuszczało bladego, jesiennego słońca. To też droga była wilgotna i mchem porosła. Czasem się listek suchy odrywał i kręcąc się wolno opadał na ziemię. Czasem się dawały słyszeć ciężkie skrzydła dzikiego ptaka, którego moje przyjście spłoszyło. Bo odkąd zamek rozpadł się w zwaliska, przechodzień rzadki tu bardzo, chyba wieśniak, idący po drzewo do lasu.

W miejscu najsamotniejszém ściągnął moją uwagę kamienny krzyżyk, mchem obrosły.

Zatartego, gockiego napisu wyczytać nie potrafiłem, lecz data jeszcze wyraźnie świadczy, że z pierwszéj połowy siedemnastego

wieku. Odpowiada więc trzydziestoletniéj wojnie, tak obfitéj w krwawe zdarzenia.

Czy to pamiątka potyczki, zasadzki, czy zbrodni, dopytać się nie mógłem. Co nie bądź, jest to jedno z tych miejsc, co gdy publiczność na nie patrzy i zaraz się spodziewa traicznéj chwili.

O kilkadziesiąt kroków ztamtąd zaczyna się iść na ostrą zamkową górę.

Las, co do szczytu dochodzi, kryje w części stare zamczysko, które podupadłym murem uwieńcza górę do koła. Musiało już wieków kilka od upadku minąć, bo chociaż, rzecz dziwna, daleko w koło nie ma żadnéj wioski, coby z jego gruzów urosła jednak oprócz muru obwodowego zaledwie się szczątki bramy nad głęboką fossą, resztki kaplicy i parę baszt zostało. Tylko główna wieża dobrze zachowana. Jak mówi tradycya, i jak się zdaje po sposobie murowania, sięga czasów Rzymian i prze-

trwała później wzniesione rycerskie mury. — Po kilkunastu wiekach patrzy ona je szcze na leśne góry Szwarcwaldu, które dawniéj strzegła. Tylko na jéj wierzchu nie ma już rycerskiéj straży, któréj wzrok czujny śledził przesuwających się po lasach barbarzyńców.

Nie jest to jedyny w tych stronach zabytek Rzymian.

Jedna z gór nazywa się dotąd, górą Merkuriusza. Na szczycie jéj widać dziś, jeszcze przedstawiającą tego boga płaskorzeźbę.

Tamtędy, więcéj na południe, leży w dzikiéj okolicy jezioro Mummel-See. Jezioro to niezgruntowane znane jest w gminnych podaniach po całych Niemczech. Bo to ma być ulubione mieszkanie Nix.

Co noc ukazują się one nad czarnemi wodami i tańczą przy dźwięku muzyki, wziąwszy się w koło za ręce. Są one bar-

dzo towarzyskie, i nie raz z przędziwem w ręku idą dzielić zabawy i prace mieszkańców lasu. Ale jak kur raz pierwszy zapieje, muszą do siebie powracać. Biada téj, co się spóźni i którą świt na ziemi zdybie. Poznać je łatwo, bo przy białéj sukni noszą zawsze zieloną obwódkę.

Raz zakochany w jednéj z nich młodzieniec, przygłuszył muzykę i śpiew koguta.

Nixa została dłużej tą razą, ale więcéj nie wróciła. A gdy niespokojny kochanek przyszedł błądzić nad jeziorem, usłyszał jęk bolesny, i wielka krwi plama, dobywając się z głębi, zafarbowała wody. Gonieny przez złe duchy młodzieniec, uciekł w góry nieprzytomny, i więcéj nikt go nie widział.

Góry te napełnione są legendami, i kto umie się dopytywać, ledwie że nie o każdéj skale, każdym kościele, lub

zamczysku czego się ciekawego dowie. Na nieszczęście, nieraz już opowiadający zdobywa się na uśmiech szyderski, na niedowiarku postrzeżony. I może za lat niewiele, ze staréj książki tylko można będzie dosłyszeć zabytki dawnéj wiary zmienionéj w przesądy. Nawet podanie z czasów chrześciańskich, tylko że ubarwione średnich wieków dodatkami, obudzać zaczynają szyderstwo.

A jednak umysł mieszkańców ciągnie za staremi tradycyami.

Co niedzielę mnóstwo młodych dziewcząt i młodych ludzi idą odwiedzać, to kazalnicę djablą, to stary zamek badeński, położony na wysokiéj górze, albo jeszcze dalsze okolice.

Ten stary zamek badeński jest to śliczna ruina, którą nie raz nawiedzałem. Szkoda tylko, że nadto przystrojona, nadto urządzona do zwiedzania; szkoda, że bluszcz,

sztucznie rozpięty, zastępuje powój dziki. Chociaż już nie mieszkalny od dawna, zdaje się on sięgać najdaléj końca wieku piętnastego, a ogromne ciosowe głazy, piękne kamienne odźwierki, pokazują jeszcze silną budowlę, którą więcéj wojny, niż siła czasu zrujnować musiały. Widok z okien pierwszego piętra jest niezrównany. Z jednéj strony leśne góry Szwarcwaldu pochylają się na wschód. Na wyższych szczytach zawieszone ciemne chmury rzucają cień ogromny na jedne doliny, gdy tymczasem drugie jaśnieją pod promieniem słońca. Na zachód rozległe błonia, na których widać Ren szeroki. Kilkanaście mil biegu ogromnéj rzeki, wszystkie jéj okręty i liczne wyspy, a daléj jeszcze równiny elzackie oparte o sine góry Vogezyi.

Dziwna to rzecz, że tak zupełnie dziś zaniechano stawiania mieszkań na górach, już nie dla obrony, lecz dla widoków.

Czyż można równać obrazy, jakie się widzi z prawie wszystkich średniowiecznych mieszkań, z widokami nowych pałaców, gdzie z okien ledwie postrzegać się daje parę przestrzałów ogrodu, kilka bzu krzaków i ze dwie piwonie.

Mówią, że w zamku tym przed laty mieszkała wdowa jednego z badeńskich margrabiów. Przy niéj bawiło na dworze parę pięknych panien i młody baron Keller z Ybourga. Ten nie okazywał wcale stałości rycerskiéj w miłości, i może dla tego podobał się obydwom pannom dworu.

W krótce i trzecia jego serce dzielić zaczęła. Była ona córką Seneszala Kupenheim. Pod pozorem polowania co dzień młody Keller wyjeżdżał konno, i leciał do swojéj kochanki. —

Raz wracał miesięczną nocą przez las odwieczny, którędy z dawna droga z Kupenheim do zamku prowadziła, gdy mię-

dzy drzewami postrzegł białą postać, okrytą woalem. Rycerz spiął konia i do niéj przyskoczył, lecz im więcéj się przybliżał, postać stawała się mniéj widoczną. Gdy rękę wyciągnął, chcąc ją schwycić, znikła rozwiana w powietrzu. Tu zimny dreszcz przeszedł młodzieńca; lecz wkrótce, wyrzucając sobie brak męztwa, postanowił się przekonać, czy to jest tylko złudzenie.

Na drugi dzień, znowu po księżycu, tąż samą powracał drogą. Z opartą na ręku głową nadziemna postać stała na tém samém miejscu, tylko wiatr jéj zasłonę odwiewał. Keller, po chwili osłupienia, znowu do niéj się zbliżył; widmo znowu znikło. Wróciwszy do zamku, rycerz opowiedział to zdarzenie kapelanowi. Ksiądz, człowiek uczony, powiedział mu, że tam przed laty stała świątynia bałwochwalska, i że nikt się dotąd w nocy do tego miejsca przybliżyć nie śmiał.

Gardząc przesądami młodzieniec, kazał ziemię rozkopać w miejscu, gdzie mu się widzenie ukazało. Znaleziono mały, rzymski ółtarz nimfom leśnym poświęcony, a trochę głębiéj dziwnéj piękności, z pokruszonemi rękoma, marmurowy posąg nimfy. Rycerz, zachwycony, kazał ółtarz na nowo ustawić i posąg podnieść.

Lecz widok piękny nimfy obudził w nim dziwny zapał, który przeszedł wszystkie ziemskie miłości. I po dniach kilku walki z sobą, poszedł koło północy w stronę dawnéj świątyni. Szedł długo lasem, gdy mu nakoniec księżyc ją ukazał klęczącą u stóp ółtarza. Tą razą nimfa nie znikła za jego zbliżeniem się, owszem coraz więcéj nabierała życia. Sługa, co za nim był poszedł, widział go jeszcze zdaleka rozmawiającego, lecz gdy obaczył młodzieńca obejmującego dziewicę, przerażony co tchu uciekł.

Na drugi dzień blisko ółtarza znaleziono ciało rycerza, a posąg zniknął.

Brat starszy młodzieńca kazał ółtarz rozrzucić. A tam, gdzie stał, i tam, gdzie znaleziono ciało rycerza, dwa kamienne krzyże wystawił —

Na dawnéj drodze, co z Kupenheim wiedzie do zamku starego, widać dotąd wśród drzew odwiecznych dwa kamienne, mchem porosłe krzyże, i po dziś dzień lud je nazywa krzyż i bożyszcze Kellera. —

Piękna to także droga, którą się idzie ze starego zamku badeńskiego do zamku Ebersteinburg. Gdzie się tylko drzewa odsłaniają, ukazuje się Ren wspaniały, ten Ren, na który się wszystkie te dawne zamki patrzały, dumne wtedy i świetne, a dziś już nie jednych resztki zakrywają drzewa.

Ebersteinburga są zapewne najdawniejsze tych okolic zwaliska. Położone tylko o kroków kilka set od wsi tegoż nazwiska,

nie boją się one rabunku swych kamieni. Ich mury z kamiennych brył, od wieków wapnem spojonych, długo jeszcze będą urągać niszczycielowi. I nieraz trzeba się uważnie przypatrywać, by dójść, gdzie się stała opoka łączy z obrobionym kamieniem. Tu mech, powoje i polne trawy bez pomocy sztuki osiadły po murach; krzewy pną się po ścianach i wyzierają przez okna; a stare lipy, których spruchniałe korzenie ledwie parę zielonych gałęzi noszą, zaległy dawne sale. Zamek ten budownictwem swém początkowém, prostém ale poważném, zdaje się odnosić do ósmego lub dziewiątego wieku. Są to w każdym szczególe malownicze zwaliska. I każden malarz podróżny, chociażby długa droga i nieustanne zwiedzanie starły pierwszy zapał dla piękności natury, pierwsze wrażenie z widoku zwalisk, uczuje tu pewnie żywe wrażenie. Może mu w oczach staną

damy, rycerze, trubadury, turnieje; i wszystko to stanie piękniejszém, świetniejszém może, niż było. Można zimną rozwagą ganić średnie wieki; dla mnie one mieć jednak będą zawsze wdzięk dziwny. Czemu te dawne, podupadłe mieszkania tyle czynią wrażenia? Temu, że wśród wielu błędów i zbrodni czyste i rozwinięte wyszły z nich trzy uczucia.

Miłość, która w samotném życiu zamków i klasztorów, przeszedłszy przez natchnione błędnych wieszczów śpiewy, wyszła czystsza i wznioślejsza, niż dawniéj. I religia, która z przesądu, czém była u starożytnych, stała się wiarą, wiarą nieodzowną do rozwinięcia postępu ludzkości. Dla tego, chociaż po zbytecznym może zapale wpadając w przeciwność, zniżają je bez miary dzisiejsi pisarze, czasy owe zasługują na wdzięczność nowego społeczeństwa, i ściągają uwagę badacza, któremu zdaje się, że

wyczytuje na tych zczerniałych murach słowa: *Honor, Miłość i Wiara.* —

Nie dawno jeszcze, (to jest zapewne lat temu kilkadziesiąt) można było zwiedzać podziemny ganek, co zamek ten łączył ze starym zamkiem badeńskim. Istnienie tego na pół mili w skale wykutego korytarza nie jest wątpliwém, i wielka szkoda, iż trochę kosztów nie poświęcono dla odnowienia go.

Zapewne, że gdyby darmo wnijście było pozwolone, niktby podziemnym lochem pół mili iść nie zechciał, lecz gdyby opłatę od tego naznaczono, nie zabrakłoby pewnie ciekawych turystów, i koszta by się prędko wróciły. W różnych krajach, nawet w naszéj Polsce, nawet w moim Wołyniu, zachowały się o podobnych gankach podziemnych podania. Pokazują w okolicy siwego starca, który w młodości jeszcze tamtędy przechodził. Lecz starzec spytany przyznaje się, że to nie on, ale jego ojciec; a późniéj

sobie przypomina, że to dziad jego podobno. I tak z pokolenia w pokolenie z niepewności w zupełną przechodzi wątpliwość.

O odległéj starożytności tego zamku świadczy historyczne podanie. Około roku 938., gdy jego panów obwiniono o zmowy z Francuzami, obległ go cesarz, Otton I. Pół trzecia roku hrabiowie Ebersteinu w zaciętéj obronie odpierali wszystkie szturmy; i już w cesarskim obozie nie wiedziano co począć, gdy jeden z nadwornych panów dał Ottonowi radę, by jeszcze zamek podstępem wziąść usiłował. Usłuchał cesarz i w tym celu sprosił szlachtę do Szpiry na rycerskie popisy, do których mógł każden, chociażby nieprzyjaciel, mieć udział. Zjechali i trzej hrabiowie Eberstejnu. Po kilkodniowych popisach, we wilią największego turnieju, nastąpiła na dworze wielka uczta i tańce.

Tu, jak i w szrankach, najmłodszy z trzech braci, piękny hrabia Eberstejnu, był także najpierwszym. To też go spotkał zaszczyt, iż raz z siostrą cesarza wiódł taniec.

Bądź pan ostrożny, rzekła mu księżniczka, dziś w nocy twój zamek ma być zdobytym.

Hrabiowie Eberstejnu, nieczekając dłużéj, wymknęli się z sali, dopadli koni, i jeszcze wśród szturmu na zamku stanęli. Może owe podziemne przejście nie mało im w ówczas do ominienia oblegających pomogło. Bądź co bądź, gdy na drugi dzień cesarz przyjechał myśląc, iż już zamek zdobyty, ujrzał dużo swoich żołnierzy po fossach, a trzech hrabiów na wałach.

Lecz, gdy znowu wątpił o zdobyciu, poddała się twierdza sama z tym jednak warunkiem, iżby siostra Ottona została hrabiną Eberstejnu.

Jest to jeden z rzadkich romansów, co nam dzieje, i to po latach tysiącu, przekazują. —

Z najwyższéj zamkowéj wieży widać dwie dziwaczne skały, stojące naprzeciw sobie. Zwą je djablą i anielską kazalnicą. W pierwszych wiekach chrześciaństwa, gdy misyonarze w tych stronach wiarę świętą szerzyli, Lucyper, bojąc się o wpływ swój na okolicę, i widząc swe panowanie zagrożoném, do odzyskania go postanowił stanowczy krok uczynić, i opuszczając swe podziemne mieszkanie ukazuje się w całym blasku na ogromnéj skale. Zbiegło się ludu nie mało. Djabeł tak był wymownym, tak żarliwie, tak z przekonania na złe nawracał, że chociaż w zapale mowy, zrzuciwszy przykrycie, odsłonił swe rogi, chociaż nieostrożnie tupiąc ściągnął uwagę słuchaczy na szpony, jednak z początku chwiać się zaczęli, a późniéj zupełnie uwierzyli. Lecz w

téjże chwili na przeciwnéj skale ukazał się anioł, i zbłądzonych nawrócił. Szatan gniewny uciekł daleko, łamiąc po drodze kamienie i zarzucając niemi okolicę.

Trochę daléj, już w Murg, dolinie tak znanéj w Niemczech z piękności, leży drugi zamek Eberstein. Był on zawsze dobrze zachowanym, a dzisiaj, niestety, odnowiony! I tak się to dobrze udało, że zdaje się teraz być jednym z tych naśladowanych, których się tyle widzi po wielkich ogrodach. Cały odbielony, odmalowany, odpoliturowany, odlakierowany. Meble przecudne, gotyckie. Tak mi to wszystko wyglądało na podrobione, żem nawet wierzyć nie chciał kolorowym szybom i zbrojom dawnym. Dziwna rzecz, iż dwa są rodzaje Wandalów: jedni niszczą, drudzy naprawiają. Ja wolę pierwszych, bo przynajmniéj zostawiają poezyą upadku. Wolę tedy ruiny, chociaż niezamieszkałe; wyobraźnia je ludu

napełni i ożywi; i przywitają podróżnego legendą, tak jak zamek Lauf. Zamek ten, nim jeszcze rozpadł się w zwaliska, dawno już nie był mieszkalnym, bo straszne o nim wieści chodziły po okolicy.

Razu pewnego rycerz, jadąc z daleka, skoczył do niego, chcąc prosić o gościnność. Gdy konno na górę wjechał, znalazł bramy otwarte, lecz głęboka cichość panowała w gmachu. Dziedziniec trawą i ziołami zarósł; nikogo do koła, tylko z jednego skrzydła kilka okien pierwszego piętra rzucało światło. Podróżny zsiadł z konia, a trafiwszy na schody, szedł w stronę oświeconych pokoi. —

W dużéj sali, przy stole, z opartą na rękach głową, siedziała młoda dziewczyna i tak się zdawała w myślach zatopiona, iż wchodzącego niepostrzegła.

Ten po chwili zachwycenia, bo ta blada postać była śliczną, przybliżył się i prosił

o gościnność. Dziewczyna skinęła głową, przyniosła jadło, napoje; potém znowu usiadła milcząca. Rycerza tymczasem wzmagało się zachwycenie tém bardziéj, iż nie raz wina dolewał. To téż przy końcu, chcąc wznowić rozmowę, spytał, czy jest córką domu. Dziewczyna kiwnęła głową.

Czy ma rodziców?

Wskazała ręką na portrety, potém wolnym głosem dodała, iż jest ostatnią swego rodu.

Czy jest jeszcze wolną?

Skinęła, że tak.

Rycerz w zapale, daléj nie czekając, prosi o jéj rękę.

Tu pierwszy uśmiech rozjaśnił twarz dziewicy; dobyła dwie obrączki, wplotła rozmarynowy wieniec we włosy i skinęła na rycerza, by szedł za nią. W téjże chwili ukazało się dwóch starców w godowych

strojach; ci ich przez długie korytarze do zamkowéj kaplicy zaprowadzili. —

Tam w rzędach stały grobowce; na jednym z nich leżała z bronzu odlana postać biskupa w kapłańskiém ubraniu. Dziewica dotknęła się go ręką; biskup powstał zaraz i szedł wolno do ółtarza. Świece się same pozapalały. W bronzowéj twarzy zajaśniały ogniste oczy, i grobowym głosem spytała:

— Kurd ze Steinu, chceszli wziąść za żonę tu przy tobie stojącą Bertę z Windeku?

Rycerz pobladły nie mógł słowa wymówić. W tém z dalekiéj huby kur zapjał. Wszyscy przytomni zniknęli. Straszliwa burza wstrząsnęła gmachem, jakby go wywrócić chciała, a rycerz upadł bez zmysłów na ziemię. Gdy przyszedł do siebie, leżał na zamkowym dziedzińcu; przy nim wierny koń jego pasł się na trawie.

— Podania takie jak o nixach, kazalnicach, zapewne sięgają pierwszych wieków chrześciaństwa; lecz legenda o rycerzu z Yburga, a zwłaszcza wesele duchów w Lauf, zdają się być późniejszemi. Widocznie lud swój zbiór powieści powiększa i odnawia, czerpiąc z każdego wieku jego poezyą; lecz jaką w naszym wynajdzie? —

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		strona
1.	Koniec na początku	1
2.	Wiedeń	13
3.	Drezno	23
4.	Szwajcarya saska	31
5.	Berlin	50
6.	Potzdam	59
7.	Hamburg	69
8.	Hanower	77
9.	Weimar	85
10.	Turyngia	97
11.	Akwizgran	113
12.	Kolonia	121
13.	Turyści na Renie	127
14.	Koblentz	135
15.	Ren	141
16.	Worms	155
17.	Heidelberg	169
18.	Czarny las	181
19.	Początek na końcu	211

Drukiem W. Stefańskiego w Poznaniu, ulica Podgórna No. 2.

KRAKOWSKI ANTYKWARIAT NAUKOWY
ul. św. Tomasza 8
31-014 Kraków
tel./fax 21-21-43

120,-
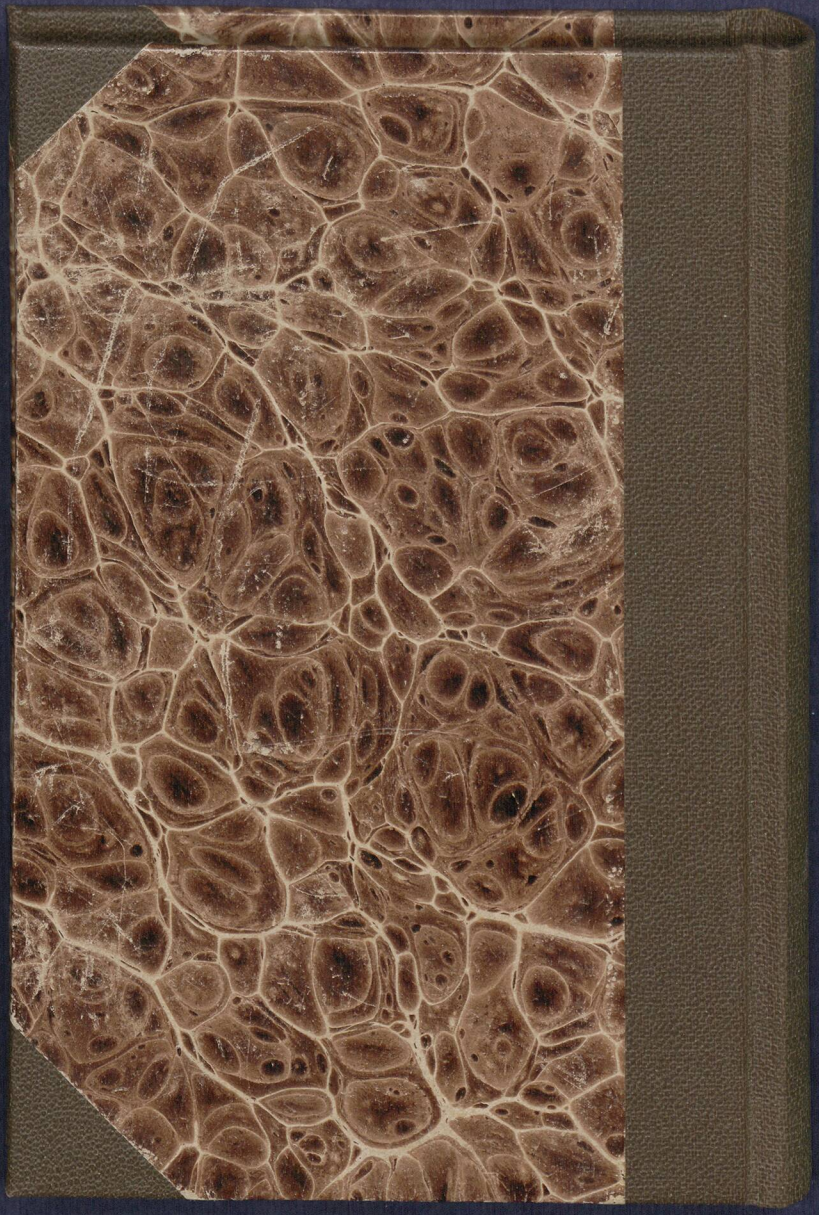
6822/27